Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 13 listopada 1938 r.* Nr. 46



Przechadzka wieczorna!

Starymi uliczkami, pełnymi wyboi
Błądzę czasem samotna jakąś nocną porą,
Gdy chmury poszarpane wiatr po niebie goni,
Susząc wielkie kałuże i chłodząc me czoło.

W ciszy, co mnie otacza, słyszę własne kroki...
Na domach cień mój własny jest mi towarzyszem,
W sen świat zapada słodki i głęboki,
A wiatr ciepły mu śpiewa, pieści i kołysze.

Idę przed siebie zwolna i patrzę w zachwycie,
Na zapleśniałe mury latami zużyte,
Na frontony w kamieniu rzeźbione przedziwnie,
Wykusze stare, freski nad bramą ukryte.

Dzikim winem obrosłe wysmukłe arkady
Rysują się w ciemnościach w podworcach zawartych,
Srebrnym blaskiem nad nimi płonie księżyc blady,
Szukając jakichś śladów już dawno zatartych...

Wysoko na strzelistych wieżach zawieszone
Zegary wydzwaniają mistyczną godzinę...
Echem odbrzmiały mury, kamienie zbudzone...
Czy dźwięk ten przepowiada im może ruinę?...

Maria Naturska.

ADAM CZEKALSKI

8)

Hollywood

POWIEŚĆ

W tej chwili Kaja spojrzała wprost w twarz O'Conora, nie spuszczając ani na chwilę wzroku. Nie miała się przecież czego wstydzić tego człowieka. Jednocześnie prawie zauważyła, że inni aktorzy, nie wyłączając tak zawsze buńczucznego Charlesa Sfiwta, odsunęli się opodal, jak gdyby chcieli być dyskretni i nie przeszkadzać tym dwojgu. To samo również spostrzegł i Slim. I jak gdyby on właśnie na ten moment czekał, po chwili podjął znowu rozmowę.

— Nie obawiam się wcale wyznać pani prawdy — mówił — że do firmy „Blackbee-Film" wszedłem dlatego, aby mieć swobodę przychodzić tutaj zawsze, kiedy przyjdzie mi taka fantazja i patrzeć na panią. Dotąd nie wyzbyłem się wiary, że w końcu pani będzie moją.

— Łudzić wolno się każdemu, mister O'Conor, gdyż życie ludzkie bez złud byłoby dość ubogie. A chociaż tam nadzieja i złudzenia najczęściej w proch się rozsypują, przecież ludzie nie rezygnują nigdy z nich.

— Moje nadzieje w proch się nie rozsypią.

— O tym będzie mógł pan powiedzieć dopiero wtedy, gdy nadzieje się ziszczą, dzisiaj jeszcze za wcześnie.

— Niech i tak będzie. Oby tylko ten upór nie kosztował panią zbyt drogo.

— Czy pan mi grozi, mister O'Conor?

— Zależy, jak to pani chce rozumieć. Powiedziałem w swoim czasie, że na swoim postawię, aby przeto być konsekwentnym, muszę w taki sposób dążyć do celu, by go osiągnąć.

— Próżne przechwałki!

— Przyszłość to okaże najdobitniej, czy słowa moje są przechwałką lub nie.

Rozlega się dźwięk gongu, wzywający wszystkich na stanowiska. Kaja dopiła kawę i stawiając filiżankę na stole, rzekła:

— Żegnam pana, mister O'Conor.

— Nie, nie żegnam, ale — do widzenia.

— Niech i tak będzie — uśmiechnęła się gorzko Kaja i odeszła do dalszej pracy, nie interesując się już więcej panem O'Conorem.

Ale zaledwie tylko znalazła się na progu właściwego „studio", przydybał ją mister Abolone i z poważną miną zagadnął:

— Miss de Rieth, mister O'Conor jest w 60% udziałowcem naszej wytwórni. Proszę korzystać z okazji i nie wypuszczać jej z rąk.

— Jak to mam rozumieć, panie Abalone? — odrzekła nerwowo.

— Pani chyba domyśla się, ile dla niej zrobić może mr. O'Conor. To bardzo bogaty człowiek i z pieniędzmi nie zwykł się liczyć. Dlatego doradzam, aby pani była dla niego uprzejmą i...

Mister Abalone nie dokończył już zaczętego zdania, gdyż spojrzał na twarz Kai i zaniemówił nagle. Twarz miss de Rieth bowiem wyrażała taką głębię odrazy i wstrętu, a oczy jej takie pioruny rzucały, iż „człowiek oko" nie miał odwagi wypowiedzieć reszty słów.

— Mister Abalone — wyrzekła po chwili Kaja z mocą — jeżeli odważy się pan raz jeszcze na coś podobnego, uprzedzam, że zerwę kontrakt i wyjadę do Europy. Proszę to sobie zapamiętać dobrze.

— Ależ madame...

— Ani słowa więcej!

Rzuciła gwałtownie głową, obrzuciła wściekłym spojrzeniem „chiefa" i poszła dalej.

Ale „rady" Abalone'a nie schodziły jej z myśli podczas następnych godzin pracy w „studio" i chwilami, na ich przypomnienie, taki gniew ją porywał, że o dobrym odtworzeniu nagrywanych scen mowy być nie mogło. Spostrzegł to reżyser i przerwawszy nakręcanie, podszedł do Kai. Mister Long, „człowiek w monoklu", cieszył się zawsze dużą sympatią „gwiazdy", toteż i teraz, gdy zapytał o przyczynę zdenerwowania, usłyszał szczerą odpowiedź.



Pilot A. Benitz już dwukrotnie dokonał śmiałego przelotu na wysokości 5 tys. metrów nad Andami.

Reżyser pokiwał tylko głową i oznajmił, że dalszych zdjęć dzisiaj już robić się nie będzie.

— Miss de Rieth czuje się dzisiaj niedysponowana — tłumaczył następnie Abalone'owi — dlatego nakręcanie przerywam do jutra do zwykłej godziny rannej. Sądzę, że zdenerwowanie i niedyspozycja naszej „star" przejdą do tego czasu bez śladu.

Tak więc, dzięki wyrozumiałości reżysera, Kaja dnia tego wcześniej powróciła do swego domu, pięknej willi nad oceanem. Tutaj czekała ją radość niezwyczajna — depesza nadana ze statku „Cornerstone" przez Rogera do niej. Ucieszyła się tym, jak dziecko jakąś bardzo miłą zabawką. Roger pozdrawiał ją i obiecywał być za tydzień w Nowym Jorku, a za kilka dni po wylądowaniu, w Hollywood.

Ta depesza była zwiastunem radości nie tylko dlatego, że zapowiadała przyjazd Rogera, za którym Kaja tak bardzo od dłuższego już czasu tęskniła, ale przede wszystkim była zwiastunem pomocy. A tej Kaja jakże bardzo teraz potrzebowała.

Przez dwie bite godziny leżała nieruchomo na sofce i myślała o Rogerze. Wracała myślami do przeszłości sprzed roku, a wszystkie wspomnienia miłe i kochane układały jej się w wieniec barwny i rozpachniony. I chwilami żałowała tego wszystkiego, co było poza nią i pragnęłaby lotem ptaka wrócić do tych zakątków swoich i tak dobrze znanych.

Nad wieczorem pokojowa przyszła ją zawiadomić, że w przedpokoju czeka miss Mady Lie, która koniecznie pragnie się z nią zobaczyć w bardzo ważnej sprawie.

— Dobrze, wprowadź ją tutaj — zgodziła się Kaja. Po przeczytaniu depeszy od Rogera, Kaja znajdowała się w usposobieniu bardzo przychylnym dla każdego i nawet sam Slim O'Conor nie wydał jej się tak niesympatycznym, jak wtedy, gdy niedawno z nim rozmawiała w kasynie wytwórni.



Z wizytą u mnichów w klasztorze na górze Rila w Bułgarii.

Po chwili weszła młoda osóbka, ubrana skromnie, lecz bardzo gustownie. Kaja przyjrzała jej się spod zmrużonych powiek, ale nie mogła sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widziała tę kobietę.

— Proszę, zechce pani usiąść — zaprosiła ją Kaja. — Czym pani mogę służyć?

— Proszę pani, przybywam tutaj, aby ją ostrzec.

— Mnie, ostrzec?

— Tak, panią. Proszę posłuchać: jestem Europejką i wylądowałam tutaj przed paru laty. Po pierwszym filmie padłam i teraz jestem statystką. Nie będę pani opowiadała, ile ciężkich upokorzeń i smagań losu znosiłam i znoszę dotychczas. Może, gdybym uległa podszeptom, los mój poprawiłby się znacznie, ale ja takiego losu nie chcę.

— Czemuż więc pani nie wyjedzie do Europy z powrotem? Przecież musisz tam mieć rodzinę, krewnych?

— Nie mam pieniędzy. Pani wie, jak drogie jest tutaj życie, a ja zarabiam tyle tylko, aby móc wyżyć i ubrać się. Rodzina moja w Europie jest biedna, a poza tym — nie chcę pisać do niej o pomoc. Oni są tam do dzisiaj przekonani, że ja tu zarabiam miliony.

Gorzki uśmiech okrasił ładne usta Mady.

— Zresztą... może mi się los jeszcze raz uśmiechnie, a wtedy nie zatrzymają mnie tutaj nawet najprawdziwsze i najrealniejsze miliony. Hollywood, to straszny tygiel, w którym dusze ludzkie i charaktery łamią się i mielą na szuter.

— No, nie wszystkie. Złoto nawet z ognia wychodzi złotem. Spalają się tylko brudy ziemi, które do złota przylegają.

— Słusznie to pani zauważyła. Ale, niestety, jakże mało tutaj takich opornych i twardych ludzi, którzy by nie dali się skusić i oparli wszelkim mirażom i złudom.

— Upadają tylko jednostki liche, olśnione iluzjami i przekonane, że tylko użycie życia stanowi jego treść. A tak przecież nie jest. Treścią życia jest nieustanne podnoszenie się moralne człowieka ku górze. Sednem najgłówniejszym w życiu ludzkim, to ciągły pęd do osiągnięcia maksimum doskonałości, jaka człowiekowi jest dostępna.

— Tak, tak, to prawda.

— A widzi pani. Ludzkość istnieje dlatego, bo podtrzymują ją charaktery silne i poczciwe. Bez nich ludzkość byłaby jak płot bez słupów, nie utrzymałaby się o własnych siłach, musiałaby runąć. Dlatego należy dążyć, by tych silnych słupów było jak najwięcej.

— Ja to pojmuję, a jeśli w ogóle dotknęłam tego tematu, to tylko dlatego, bo przyszedł on mi na myśl w związku z moją niedolą tutaj i ze sprawą w jakiej do pani przyszłam. Wspomniałam już, że chcę panią ostrzec, gdyż szykuje się na nią zamach.

— I któż to tak bardzo zawziął się na mnie? — spytała z lekką ironią Kaja. — Jak dotąd, nie naraziłam się nikomu tak wielce.

— Pani zna O'Conora, prawda?

— Owszem, znam.

— Otóż O'Conor rozmawiał kiedyś w towarzystwie swoich przyjaciół, gdzie i ja się znajdowałam, że tak dalece zawziął się na upokorzenie pani, iż gotów jest stracić milion, aby na swoim postawić. A ponieważ ja tego O'Conora trochę znam, obawiam się przeto, że nie cofnie się on przed niczym, byle swego dokonać.

— Cóż on mi może zrobić?

— Bardzo wiele. Pieniądz w tym kraju odgrywa najważniejszą rolę w życiu ludzi, a O'Conor pieniędzy posiada w dostatecznej ilości.

— Przecież mnie nie pożre chyba?

— Nie wiem, co zrobi, ale jestem przekonana, że będzie nastawał w rozmaity sposób nie tylko na panią, ale także i na tych wszystkich pani bliskich, którzy mogą znaleźć się w zasięgu jego rąk.



Scena baletowa na wolnym powietrzu.

Kaja zamyśliła się na chwilę, a następnie odrzekła:

— Dziękuję pani za ostrzeżenie. Będę się miała na ostrożności i nie dam się. Dla mnie miliony O'Conora nie mają żadnego znaczenia. Przyjechałam tutaj nie po to, aby jedynie obłowić się dolarami, zrobić majątek, czy jak się to tutaj nazywa, ale tylko dla sławy. Sławę już mam i w dalszym ciągu na nią będę pracować, a dolary uznaję jedynie jako środek do celu, ale nigdy jako cel sam. Poza tym — niebawem przyjedzie tu mój mąż, on mnie potrafi obronić przed dziesięciu takimi milionerami, jak mr. Slim O'Conor.

— Więc pani jest zamężna?

— Tak, od dwóch lat.

— I opuściła pani męża dla Hollywood?

— Pociągnęła mnie iluzja, jak pociągnęła ona panią i setki innych. Oto właściwa przyczyna mojej obecności tutaj.

Mady zamyśliła się, jakby rozważała coś w swojej głowie.

— Czy pani kocha swego męża? — zapytała naraz.

— Tak, nawet bardzo. A czemu pani pyta.

— Ach, nic, nic... Po prostu przyszło mi na myśl, czy ja, kochając męża, porzuciłabym go dla sławy filmowej.

— Dzisiaj na pewno nie, bo pani ma już smutne doświadczenie z tutejszego terenu, ale przed tym doświadczeniem na pewno postąpiłaby pani tak samo, jak ja



Z wojny na Dalekim Wschodzie. Artyleria japońska w ogniu walki.

i wiele mnie podobnych kobiet europejskich.

— Może, może...

— Ale a propos: czy ja pani nie mogłabym w czym pomóc?

Mady spojrzała na Kaję z błyskiem jakby radości w oczach, ale ten błysk zgasł niebawem w jej źrenicach i hardość legła na twarzy dziewczyny. Kaja spostrzegła ten instynktowny odruch i ucieszyła się nawet, bo zrozumiała, że Mady jest ambitną dziewczyną. Pośpieszyła też niezwłocznie z wytłumaczeniem swego gestu.

— Niech pani nie pomyśli przypadkiem — rzekła — że ja panią chcę skrzywdzić jakimkolwiek drobnym datkiem, o, nie! Ale doprawdy, pragnęłabym pani z całego serca pomóc.

— Przecież mnie pani nie zna wcale — odrzekła na to Mady. — I gotowa może pomyśleć, że przychodząc do niej, liczyłam na jakąkolwiek zapłatę. Otóż nie, wcale nie — zaprzeczyła gorąco. — Ale wiem, że pani jest Europejką, że pani jest, jak i ja, katoliczką, dlatego po prostu przez solidarność kobiecą... uważałam za potrzebne poinformować panią o szykującym się na nią zamachu.

— Moja droga pani, niechże pani nie podsuwa mi myśli, których ja wcale nie miałam. Pragnę jej pomóc, ale w jakiej formie, tego jeszcze nie wiem. Proszę mi zostawić swój adres, a skoro tylko mąż mój zjawi się tutaj, postaramy się albo znaleźć dla pani jakąś możliwie dobrą pracę, albo też znajdziemy inny sposób na ulżenie jej doli. Proszę mi zatem powiedzieć: czy chciałaby pani wziąć pracę w jakimś biurze, lepiej płatną?

— Z całą rozkoszą! Ta cała filmia obrzydła mi już całkowicie. Nie mam żadnych złud co do filmu, toteż bez cienia nawet żalu najchętniej wzięłabym jakąkolwiek pracę, byle tylko uciułać trochę dolarów na podróż. Ach, Boże, z jakąż rozkoszą chciałabym znowu znaleźć się w swoich stronach!

— Czy pani włada angielskim?

— Całkiem płynnie, zarówno w mowie, jak i piśmie. Uczono mnie przecież przez cały pierwszy rok, jaki tu spędziłam, a później, już przez ciągłe konwersacje w tym języku, nabrałam dostatecznej wprawy.

— To świetnie. Gdy tylko mąż mój tutaj przyjedzie, poproszę panią do siebie i razem omówimy ten temat jeszcze raz. Muszę nadmienić, że mąż mój jest dyrektorem jednego z afrykańskich oddziałów amerykańskiej firmy samochodowej. A ponieważ jest bardzo czynnym pracownikiem, cieszy się dobrym poparciem fabryki i zapewne wiele dla pani będzie mógł zrobić.

— Dziękuję pani bardzo — wstała Mady — to dla mnie będzie najżyczliwszą pomocą i — ja nigdy tego pani nie zapomnę.

Wstała również i Kaja, ale nie chciała jeszcze puszczać od siebie Mady. Ta dziewczyna stanowczo jej się podobała. Dobrze jej patrzyło z oczu. Ale co najbardziej podobało jej się w niej, to upór i stanowczość. Mogła przecież, uległszy pokusom jakich tu pełno, żyć zgoła wygodnie i bez najmniejszych przykrości. Ale ona tego nie chciała. Wolała zarobić swoje 30 czy 50 dolarów miesięcznie i żyć skromnie, niż puścić się na zdradliwe wody romansu z tym lub innym potentatem finansowym, jacy nieustannie kręcili się wśród statystek, nawiązując intrygi. Mimo to jednakże przyszło jej na myśl, że nie zaszkodzi zasięgnąć o Mady informacyj przez detektywa. Przekona się wtedy, czy pierwsze wrażenie nie omyliło. Potem przyszła myśl następna, bezpośrednia — zatrzymania jej na kolację. Zaproponowała jej to, ale Mady odmówiła.

— Jeśli pani będzie uprzejma, to może kiedyindziej — odrzekła — dzisiaj mam trochę roboty w domu. Kupiłam sobie małą maszynę do pisania i czasem przyjmuję przepisywanie. Z tego także zejdzie mi kilka dolarów.

— Podziwiam panią! — zawołała Kaja z niemałym zachwytem .

— Cóż robić, proszę pani, statystów nie zawsze potrzebują, a żyć trzeba codziennie. Muszę sobie więc jakoś radzić.

Na pożegnanie Kaja bardzo czule uściskała Mady i zaprosiła ją na przyszłość do siebie. Mady obiecała i wyszła.

XII.

PODSTĘP O'CONORA

Kaja porozumiała się z doktorem Decay' em i prosiła go o zajęcie się poufnym wywiadem o Mady. W kilka dni później doktór zjawił się osobiście w mieszkaniu „gwiazdy", aby jej zdać relację ze swoich badań.

— Ta miss Mady Lie — zagaił rozmowę doktor — jest naprawdę jakimś fenomenem na tutejszym gruncie. Proszę sobie wystawić, że ta dziewczyna nie miała dotąd żadnego romansu, który można by nazwać grzesznym. Owszem, flirtować lubi i umie, ale bez zawarcia z nią formalnego małżeństwa żaden mężczyzna niczego u niej nie wskóra.

— Bardzo się z tego cieszę, doktorze — odrzekła na to z uśmiechem Kaja — a radość moja jest tym większa, bo stwierdzam, że pierwsze wrażenie, jakie ona na mnie zrobiła, nie myliło.

— Tak, tak, bywają jeszcze wyjątkowe niewiasty nawet w dzisiejszym do gruntu zmaterializowanym i do szpiku kości popsutym wieku dwudziestym. Naturalnie, jak się dowiaduję, byli i tacy, którzy dla zdobycia Mady próbowali i małżeństwa. To przecież w tutejszych warunkach żadna nadzwyczajność. Do roku można się pięć razy co najmniej żenić i rozwodzić, a aby nie gorszyć purytanów, ostatecznie wyjeżdża się do Roneo i sprawa w ciągu dni paru załatwiona. Długość czasu zresztą uzależniona jest od wysokości sumy pieniężnej, jaką delikwent gotów za rozwód zapłacić. Ale miss Mady stawia zawsze takie warunki amatorom Hymenu, że ci nigdy spełnić ich nie mogą.

— No, cóż to za warunki?

— Proszę sobie wystawić, że żąda ona, ażeby człowiek, którego pokocha, a który pragnie zawrzeć z nią związek małżeński, niezależnie od wszelkich zobowiązań prawem przepisanych, zawarł nadto umowę rejentalną, że nigdy nie będzie żądał rozwodu.

— Kapitalne!

— I dotąd nie ma tak odważnego.

— Bo widać żaden z dotychczasowych starających się o Mady, nie pokochał jej prawdziwie, szczerze i głęboko.

— Tak i mnie się wydaje. Miłość bowiem prawdziwa ma to do siebie, że potrafi zwalczyć wszelkie przeszkody.

— Naturalnie, pod warunkiem, że będzie to miłość obustronna.

— To jest potrzebne, ale nie konieczne.

— Czyżby? Ja jestem innego zdania. Jeżeli kogoś nie kocham, to nie poddam się i nie zawrę z takim człowiekiem nigdy małżeństwa.

— Zapatrywania zmieniają się z upływem czasu. Zatem, jeśli nawet pani nie kocha, to z czasem może pokochać.

— A jeśli kocham innego?

— To postać rzeczy zmienia. Wtedy osobnikowi rodzaju męskiego, który stara się

o względy pani, nie zostają prawie żadne realne szanse.

— A widzi pan! — zawołała prawie z radością Kaja.

— Nic nie widzę w tej chwili prócz tego, że pani jest czymś uradowana.

— Stwierdzeniem faktu tylko, o którym pan mówił przed chwilą.

— No, to i dobrze. Uciekam więc, bo mam jakichś snobów europejskich oprowadzać po Los Angeles i Hollywood, a jestem przecież „specem" od tego.

— Szkoda, że nie może pan dłużej ze mną zostać.

— Cóż robić, łaskawa pani, musimy jakoś zarabiać na utrzymanie w pozycji stojąco-chodzącej, naszego grzesznego ciała. Zostawiam jednak relację na piśmie o miss Mady — będzie pani mogła sobie szczegółowo ją przeczytać i bliżej poznać osobę miss Lie.

Decay pożegnał aktorkę i oddalił się, a kiedy na schodach spotkał mr. Tear'a, sekretarza osobistego Kai, wziął go pod ramię i odprowadził na bok.

— Mister Tear — szepnął — proszę pilnie uważać na miss de Rieth.

— Czemu? — spytał zdziwiony nieco sekretarz.

— Coś mi się tak wydaje, jakoby ktoś dość potężny prowadził wielką grę przeciwko naszej znajomej.

— Nic nie rozumiem. Z czegoż to pan wnosi?

— Mniejsza o szczegóły moich wiadomości. Radzę szczerze, a chyba może mi pan ufać, mieć oczy otwarte na wszystko i nie spuszczać bacznej uwagi z naszej przyjaciółki... Czy O'Conor bywa tu często?

— O'Conor? Nie, nie bywa wcale już od dłuższego czasu.

Doktor się zamyślił na moment, a potem wzruszywszy ramionami, dodał jeszcze:

— To, ostatecznie niczego nie dowodzi. Mam prawie pewność, że O'Conor to ten przysłowiowy wilk w oborze.

I pożegnawszy sekretarza, oddalił się szybko. A Tear, popatrzywszy jeszcze chwilę za Decay'em, ścisnął mocniej tekę z listami pod pachą i poszedł do pokoju Kai.

Tutaj jednak nic nie wspomniał o ostrzeżeniu doktora, ale niemniej postanowił sobie skorzystać z niego. Tymczasem zaś, usiadłszy, zabrał się do streszczenia poszczególnych listów. Było ich takie mnóstwo codziennie, że Tear nie był w stanie przeczytać ich wszystkich i odpowiedzieć na nie. Segregował je tylko osobiście i rozdzielał między dalszych trzech sekretarzy, a ci zdawali mu tylko krótkie sprawozdania na piśmie z ich treści. Do osobistego przejrzenia zostawiał tylko nieliczne listy, a niektóre, z góry określone, czytała już sama Kaja osobiście i osobiście też na nie odpowiadała adresatom.

Były wśród nich listy pachnące, eleganckie, wykwintne nawet, pisane poprawną angielszczyzną i ładnym pismem — te pochodziły od osobników wysoko stojących społecznie. Były listy od urzędników, pisane męczącym stylem urzędowym, od businessmanów, pośredników, agentów domokrążnych, listy od kelnerów i szoferów, od kucharzy i posługaczy — pisane na papierze taniutkim i niezgrabnymi kulfonami. A wszystkie one, jakby ich autorzy jednakowo na umyśle byli tknięci, wyrażały miłość w najrozmaitszy sposób i przy pomocy najróżniejszych słów. Wszystkie one domagały się schadzek, spotkań i zawierały najbardziej szalone propozycje, których nikt i nigdy spełnić nie mógł. To była jedna seria listów, seria pochodząca od zboczeńców, erotomanów, ludzi rodzaju nijakiego, tworzących jakąś niesamowitą i obłędną menażerię ludzką. Były także listy, i te stanowiły porcję najznaczniejszą, od kinomaniaków całego świata, roztkliwiających się nad „genialnością" gry, ci żądali, nieraz w formie nawet niegrzecznej — przysłania im fotografii aktorki z własnoręcznym podpisem. To byli zbieracze autografów, ludzie niemniej na umyśle tknięci, jak kategoria pierwsza. Wszystkie lichoty świata całego, uwiedzione blaskiem blichtru i iluzji, zachłystywały się w tych listach, upajały samą nazwą Hollywood. Ludzie ci pisywali listy górnolotne, nieraz w tak napuszonym, ale tak pokracznym stylu angielskim, iż nawet najlepszy lingwista angielski nie byłby w stanie dojść sedna rzeczy. Wreszcie była i kategoria trzecia, którą tworzyli rozmaici pożyczkobiorcy, żebracy, „dobrodzieje" i „społecznicy" z nieprawdziwego zdarzenia, którzy domagali się pieniędzy.

„Zarabia pani przecież miliony, cóż więc za uszczerbek w majątku jej powstanie, jeżeli zechce przysłać mi parę tysięcy dolarów" — czytało się w takich listach dość często.



W listopadowej mgle...

Żali się wicher polny,
w krzewach przydrożnych łka...
łąki drzemiące w ciszy
pokrywa gęsta mgła — —

Zapada późny wieczór
w jesieni gasnący czas —
w zadumie listopadowej
samotny drzemie las.

Mgła otuliła pola
i przesłoniła świat —
szron zwarzył na trawniku
róży ostatni kwiat...

Łąki zasnute żalem,
które pokryła mgła...
w leszczynach — wiatr na strunach
samotnej duszy łka.

Mgła szczęście przesłoniła,
że nie wiem, dokąd iść —
w serce zwątpieniem opadł
ostatni, zwiędły liść.

Gasną w melodiach wichru
jesienne, dżdżyste dnie...
Jakże odszukać szczęście
W listopadowej mgle?

Józef Baranowski.

„Pragnę odbyć podróż dookoła świata — pisał inny — a nie mam pieniędzy na kupno motocykla. Cóż wielkiego dla pani paręset dolarów (ten był stosunkowo dość skromny w żądaniu); uszczerbku żadnego pani nie dozna, a dla mnie będą one spełnieniem marzeń od wielu lat".

Ta powódź żebraniny rozmaitych osobników spod wszystkich szerokości geograficznych prawie, bywała zawsze tak uprzykrzona i stawała się tak natrętna, iż słusznie chciało by się uciec najbliższym wehikułem na Marsa lub inną jeszcze dalszą planetę.

Przejrzawszy całą tę pocztę i podpisawszy kilkuset własnych fotografii z sakramentalnym, a nic nie znaczącym: „Yours sincerely", Kaja odetknęła z ulgą i zabrała się następnie do przeglądania przysyłanych jej przez agencję prasową wycinków recenzyj prasowych o jej grze w pierwszym obrazie „Śpiewam dla ciebie", który obiegał w tej chwili kulę ziemską w triumfalnym pochodzie. Recenzje te sprawiały Kai zawsze wiele radości, bo głosiły jej sławę w najrozmaitszych superlatywach. Czytało się tam:

„Wielki dramat... Kaja de Rieth wnosi cały swój wdzięk i czar, urodę i artyzm w rolę główną..."

„Kaja de Rieth jest ciepła, bliska, serdeczna. Jest błyskotliwa i olśniewająca. „Śpiewam dla ciebie" jest filmem **godnym** specjalnego miejsca w produkcji filmowej ostatnich czasów".

„Przeżywany w tym filmie romans, ma piękno i polot wielkości. Film, który koniecznie trzeba obejrzeć".

„Kaja de Rieth błysnęła w jednej godzinie i oczarowała. Film daje głębokie i wielkie wzruszenia".

„Czarująca jest Kaja de Rieth jako śpiewaczka. Jej wzrastające uczucie podziwu, żalu, miłości, poświęcenia i wielkiego — trwającego lata — wzruszenia — bo tylko tak to potrafię określić — wywołują silną reakcję i podziw".

I tak dalej i dalej snuły się te recenzje, ciesząc miłość własną Kai, która, jak dotychczas, nie wierzyła zbytnio w prawdziwość swojego talentu, reklamowanego początkowo tylko sztucznie i przy pomocy dziesiątków tysięcy dolarów, tak teraz uwierzyła całkowicie i bez najmniejszych zastrzeżeń, gdyż owe pochwały dziennikarskie wywołane zostały same z siebie i wytwórnia już ich ani nie inicjowała, ani też nie płaciła za ich drukowanie jednego nawet centa.

Wreszcie i to się skończyło i Kaja zabrała się do czytania listów, których osobiste przeglądanie zastrzegła sobie od dawna. Przejrzawszy zatem listy ściśle prywatne, sięgnęła do paczki zaproszeń na rozmaite „parties" i przyjęcia w domach „gwiazd" i „gwiazdeczek" mniej lub więcej sławnych. Pierwszym z nich było zaproszenie na przejażdżkę jachtem po Oceanie, inicjowane przez jedną z dość sławnych gwiazd i specjalnie Kai przyjazną osobę, Carole Fancy. Artystka zapraszała Kaję nie tylko przez nadesłanie jej zwykłego zaproszenia drukowanego, ale także nadesłała list bardzo ciepły i miły, prosząc, by Kaja zechciała zaszczycić jej jacht swoją obecnością.

Kaja pokazała jedno i drugie Tear'owi i spytała o zdanie.

— Ach, to o Fancy chodzi — odrzekł sekretarz.— Moim zdaniem, powinna pani wziąć udział w tej wycieczce. Pogoda jest piękna, na burzę morską się nie zanosi, a poza tym — pan Long telefonował do pani jeszcze wczoraj wieczorem i prosił, aby pani wybrała się na tę przejażdżkę.

— Czy pan Long również tam się wybiera?

— Zdaje się, że nie.

— Hm! Dlaczegoż jednak mnie doradza przyjąć zaproszenie, skoro sam go nie przyjmuje i nie zamierza w ogóle z okazji skorzystać?

— Pan Long jest pani bardzo przyjazny, madame. A jeśli doradza taką dwu czy też trzydniową wycieczkę, to niewątpliwie ma na uwadze wypoczynek pani. A to należy jej się koniecznie. Inni wyjeżdżają przecież na Florydę, do Miami i Palm Beach, zabawiają się tam, rozkoszują cudowną pogodą, jaka tam zawsze panuje, czemuż zatem pani nie miałaby skorzystać z parodniowego wypoczynku.

— Być może, ma pan rację, mister Tear. Chodzi tylko o to, abym z tej wycieczki wróciła przed wylądowaniem jeszcze w Nowym Jorku mojego męża, gdyż było by mu bardzo przykro, gdyby telefonował do mnie i nie zastał mnie w domu.

Tear skłonił się, wyrażając tym zrozumienie.

A miss de Rieth, pomyślawszy czas jakiś, powstała i odrzekła:

— Ha, może ma pan słuszność. Odpoczynek, choćby tylko parodniowy, należy mi się; zasłużyłam przecież nań. Gdy więc inni uciekają na Florydę, ja chwilowo skorzystam z okazji tutaj, a później, gdy już mąż mój przybędzie, udamy się i my również na czas dłuższy na Florydę.

Tak więc rzecz cała została załatwiona i dwa dni później już Kaja zaczęła przygotowywać się do tej przejażdżki morskiej, słusznie obiecując sobie po niej wiele. Pogoda na wybrzeżu kalifornijskim była, jak zwykle, wprost cudowna. Nie bywała też ona tutaj nigdy inna. Kraj ten bowiem jest naprawdę krajem błogosławionym. Klimat posiada iście czarodziejski. Deszcz pada rzadko, dnie od początku do końca roku są słoneczne i pogodne, a noce orzeźwiające.

Złoto, srebro i nafta znajdują się tu obficie w ziemi. Ale mimo to, gdyby nie praca rąk ludzkich, gdyby nie sztuczne nawodnienie, większa część Kalifornii byłaby do dziś dnia również pustynną, jak w osiemnastym wieku, kiedy przybył tu genialny mnich franciszkanin Junipero Serra, który na ziemiach, zamieszkałych przez dzikich czerwonoskórych, zbudował szereg warownych klasztorów, pierwszych placówek cywilizacji.

Człowiek użyźnił Kalifornię. Dziś zajmuje ona jedno z czołowych miejsc wśród krajów uprawiających ryż.

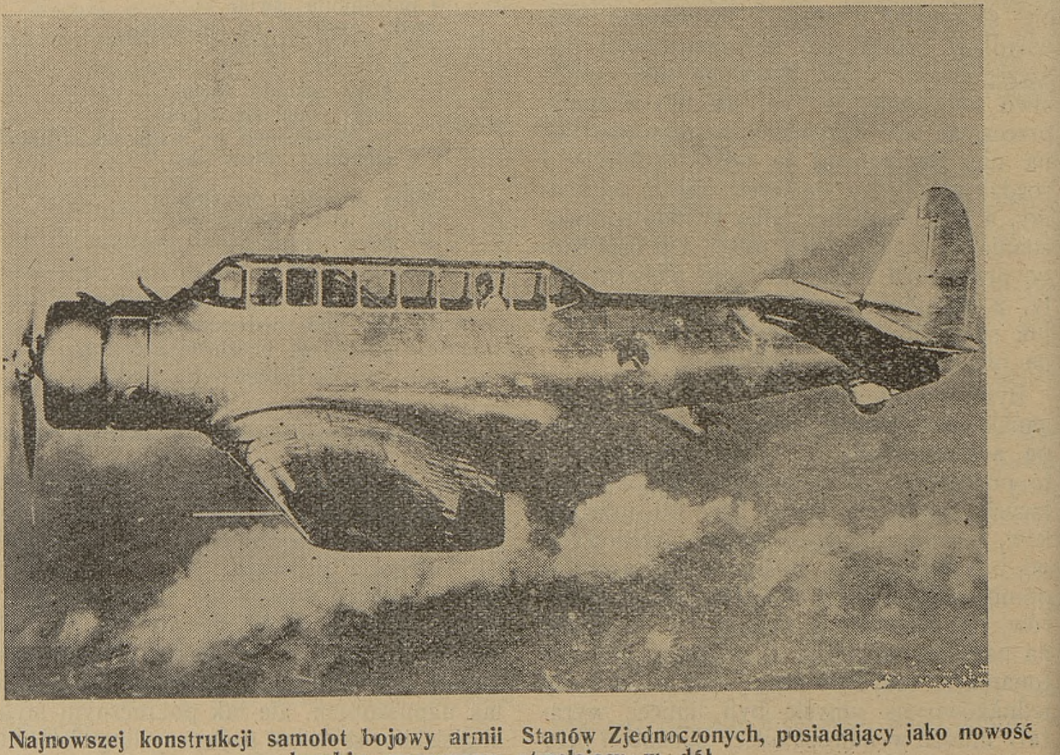
Ale poza przeprowadzeniem sieci kanałów, drenów itp. równie ważną rolę w przekształceniu Kalifornii w jeden kolosalny sad i warzywnik, aprowidujący nie tylko Amerykę, ale i inne kontynenty, odegrała wzorowa gospodarka, od której kraj ten nazwano „salaterką amerykańską", gdyż jest ona ojczyzną przeważnej ilości sałaty, spożywanej w Stanach Zjednoczonych.

Zupełnie odmiennie niż dzisiaj przedstawiała się Kalifornia w wieku osiemnastym. W owym czasie zarówno Hollywood, jak i inne miasteczka, znajdujące się w okolicy Los Angeles, były koloniami farmerów. Hodowano pomarańcze i cytryny. Plantacje ciągnęły się w głąb Los Angeles, otaczając miasto pachnącym pomarańczowym pierścieniem. Hollywood założony był przez bogobojnego pioniera z Michiganu, nazwiskiem Henryk Wilcox, który na łożu śmierci wyraził życzenie, żeby jego potomkowie nie tknęli nigdy w życiu wina. Osiedleńcy czcili pamięć Wilcoxa i święcie dotrzymywali jego przykazań.

Po jakimś czasie, nie wiadomo skąd, zjawili się ludzie filmu, wdarli się do Hollywood. Wymalowani komedianci coś tam nagrywali na ulicach przed człowiekiem kręcącym korbą jakiegoś dziwnego aparatu. Komedianci pili, głośno rozmawiali, wyczyniali dziwy. Ażeby pozbyć się nieproszonych gości, mieszkańcy Hollywood zmówili się i nie wynajmowali im mieszkań. Ale to nie pomogło. Komedianci budowali się w sąsiedztwie i w dalszym ciągu nie myśleli nawet opuszczać ziemi, potrzebnej dla ich celów.

To było jakieś dwadzieścia lat temu. Bardzo prędko komedianci zbogacili się, złoto sypało się na nich. Skupili mnóstwo akrów ziemi i zaczęli budować hale do zdjęć i wille dla swoich artystów i reżyserów.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Najnowszej konstrukcji samolot bojowy armii Stanów Zjednoczonych, posiadający jako nowość karabin maszynowy strzelający w dół.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

W pierwszych dniach zawieruchy wojennej pokazano Karolinie fotografię cesarza Austro-Węgier. Patrząc na nią zmarszczyła brwi i zacisnęła pięści. W pamięci jej nie zatarły się wspomnienia sprzed pół wieku i na widok tej nienawistnej postaci wołała: „Pan jest winien morderstwa! Maksymilian! Arcyksiążę domu Habsburgów! Podły nędzniku!"

Czy ma na myśli swego syna, czy też robi aluzję do innej zbrodni?

Król Albert i królowa Elżbieta odwiedzali Karolinę przed wojną bardzo często. Cesarzowa prowadziła z nimi serdeczne rozmowy, dziwiąc się, iż nie widuje ich teraz, szepcze do siebie: „Nie ma już odwiedzin Flamandów."

Bombardowanie sąsiednich fortów w Anvers budzi w niej niepokój. Zagubiona w swym mglistym świecie złud nie widzi jednak, iż żołnierze niemieccy przystają przed okratowaniem parku, czytając z dziwacznymi komentarzami afisze rozklejone na całym ogrodzeniu posiadłości: „Ten pałac, który należy do korony belgijskiej, zamieszkuje Jej Cesarska Mość cesarzowa Meksyku, bratowa naszego drogiego sprzymierzeńca cesarza Austro-Węgier. Żołnierze niemieccy winni powstrzymać się od śpiewu i uszanować spokój tego domu."

Cóż może przynieść zwycięstwo pod Tannenbergiem, bitwa na jeziorach mazurskich, upadek Przemyśla, operacje von Mackensena, przymierze Bułgarii? Wojna jest przegrana, o ile armia niemiecka nie zrobi wyłomu na zachodzie. Kolosalny atak na Verdun kończy się klęską. W czerwcu generał Brusiłow przerwał front austriacki pod Łuckiem. Verdun zostaje wkrótce oswobodzone atakiem aliantów nad Sommą.

Cesarz Franciszek Józef nie opuszcza już wcale pałacu w Schönbrunnie. Dobrowolnie zamknięty, niby więzień wydarzeń dziejowych, walczy przeciw nadciągającym mrokom śmierci, jak gdyby pragnął przeżyć jeszcze ostateczny upadek swego państwa.

W listopadzie oficjalne komunikaty oznajmiają, iż ukochany cesarz jest chory. Wiedeń, który od kilku miesięcy przeżywa głód, wpada w bezgraniczne przygnębienie. Przed pałacem zbierają się tłumy. Kobiety płacząc, wskazują na okno, za którym cesarz dogorywa na wąskim żelaznym łóżku polowym.

21 listopada 1916 r. cesarz Franciszek Józef cicho zgasł. Kronprinz Karol i przyszła cesarzowa Zyta wraz ze swym małym synkiem Ottonem, oraz Katarzyna Schratt, płaczą przy śmiertelnym łożu. Hrabia Paar, wierny stary dworak wydaje się tylko oczekiwać pogrzebu, by z kolei odejść w wieczność. Chce służyć swemu panu do ostatka!

2 grudnia Wiedeń przywdziewa żałobę. Kołyszą się dzwony katedry św. Stefana, bogate sklepy przy ulicy Maria Hilferstrasse są zamknięte, nieprzeliczone tłumy czernią się na Graben; ostatnie drzewo dawnego lasu wiedeńskiego, wmurowane w węgieł kamienicy, rozpina nagie gałązie naprzeciw kościoła, w którym wzniesiono okryty kirem katafalk. Żałobna wieść o śmierci cesarza biegnie przez Europę, z okopu do okopu, z ust do ust, od krańców Morza Północnego aż po Morze Czarne.

Tylko jeden pułk piechoty w polowych mundurach odprowadza cesarza Franciszka Józefa na wieczny spoczynek. Żołnierze oddają honory bagnetami, na których rdzawią się źle wytarte plamy świeżej krwi. Tłum płacze, przejęty zgonem nieśmiertelnego, zdawało by się, cesarza. Żałobny orszak zbliża się powoli do podziemi Kapucynów. Wrota są zamknięte. Na trzy kroki przed wejściem ustawiają trumnę. Mistrz ceremonii uderza trzykrotnie w drzwi krypty. Tajemniczy głos odzywa się po drugiej stronie: „Kto tam?"

Ciemną warstwą tłumu, ukwieconą białymi chusteczkami, wstrząsa niesamowity dreszcz. Okrutny potomek Montenuovy, stojąc na baczność przed zamkniętymi drzwiami, woła:

„Franciszek Józef, cesarz Austrii, król Węgier..." i w ciągu dziesięciu minut wymienia wszystkie tytuły dostojnego nieboszczyka. Przy każdym obwieszczeniu falują sztandary, żołnierze z najeżonymi bagnetami, nie mogą powstrzymać łez. Cóż to się dzieje? Drzwi pozostają wciąż zamknięte. Z głębi krypty, jakby z zaświatów, rozbrzmiewa głos: „Nie znam go."

Mistrz ceremonii uderza ponownie w zawarte wrota. I znowu w odpowiedzi na zapytanie „kto tam" powtarza szereg tytułów oraz wymienia rodowód Franciszka Józefa. Tajemniczy głos mówi: „Nie znam go."

Po raz trzeci rozlega się stukanie do drzwi. Tragiczna cisza panuje nad tłumem, kobiety mdleją, zaciskają się dłonie na kolbach karabinów. Cóż to się dzieje? Cóż to za ponury ceremoniał napełnia lodowatym przerażeniem wszystkie serca?

Mistrz ceremonii, stoi u zawartych wrót wieczności, wznosi oczy pełne jakiegoś nieziemskiego światła i składając dłonie w patetycznym geście, wykonywanym tylko raz lub dwa w ciągu jednego wieku, woła: „Grzesznik Franciszek Fózef!"

Nie ma już cesarza, są tylko szczątki zwykłego śmiertelnika, który błaga przebaczenia za swe winy i okrucieństwa. Drzwi rozwierają się szeroko, ukazując stojącego na progu przeora O.O. Kapucynów z kropidłem w ręku. Z ciemnego wnętrza krypty wyłania się symbol duchowej wieczności, zaklętej w wiekuistą wiarę. W śmiertelnej ciszy tysiąca serc rozlega się wołanie: „Grzesznik Franciszek Józef niech wejdzie!"

Trumna schodzi powoli po ostatnich stopniach. Oto sarkofag księcia Reichstadtu ozdobiony pękiem świeżych fiołków, oto mauzoleum cesarzowej Elżbiety, której Franciszek Józef wybaczył grzeszne narodziny dziecka w Sasset, oto grobowiec Rudolfa, który stanął przed Bogiem ze skronią przebitą samobójczą kulą — gdzież on teraz jest, czy duch jego zaznał spokoju, choć nie odnalazł w mrokach zaświatów cienia ukochanej Marii Vetsery; oto miejsce wiecznego spoczynku cesarza Maksymiliana, rozstrzelanego w Queretaro: Niech śpi w spokoju ten, co wybaczył wszystkim, nawet swemu bratu, który teraz za nim podążył. Dziesiątki i dziesiątki arcyksiążąt, którzy tyle trosk przyczynili cesarzowi za jego panowania, oczekują go w niczem niezakłóconej ciszy. Cała rodzina jest w komplecie. Skończyły się już wszystkie nieporozumienia, dyskusje wyklęcia, wygnania! Śmierć zrównała wszystkich pod płytami z brązu.

Ze współczesnych ostatniego półwiecza pozostała już tylko cesarzowa Eugenia, na wpół oślepła, która twierdzi, iż umarła jeszcze w 1870 roku. Jest też i cesarzowa Karolina, 84-letnia staruszka, lecz ze względu na wielkość Habsburgów lepiej nie

Cesarz umarł, niech żyje cesarz! Berło, które przechodziło z rąk do rąk od czasów Rudolfa i Karola V poprzez całą dynastię, w ciągu 68 lat spoczywało w mocnych dłoniach, lecz inne dłonie, przeznaczeniem których było przejąć insygnia władzy, rozsypały się w proch.

Któż wstąpi na najstarszy w Europie tron? Gdyby nie było podłości i okrutnych, tajemniczych rozkazów, sprawa byłaby szybko rozstrzygnięta. Gdyby Franciszkiem Józefem nie targała podejrzliwa obawa o utrzymanie całkowitej władzy dla siebie i swego syna, nie trzeba było by szukać na-

stępcy w bocznych liniach, oddalając się coraz bardziej od pnia dynastii aż do arcyksięcia Karola.

Maksymilian, młodszy brat Franciszka Józefa nie żyje, lecz przecież syn jego jest prawowitym dziedzicem cesarstwa austriacko-węgierskiego. Istnieje co prawda akt wyrzeczenia się praw dynastycznych, podpisany w Miramar, historia jednak jest silniejsza od wszelkich pisanych dokumentów, wykazał to jasno los Franciszka Ferdynanda. Ale przeznaczenie dynastii Habsburgów chce inaczej. I oto w 1916 roku wydarza się fakt, który przewyższa swą grozą antyczne tragedie i wielki fatalizm historii Atrydów: Franciszek Józef wykreślił ze swej dynastii nowonarodzone dziecię, które było mu zawadą; a więc ci wszyscy, co mieli go zastąpić okazali się niegodnymi tronu. Pierwszy z nich zginął zamordowany podstępnie, jak gdyby śmierć chciała dowieść jego niezdolności, drugi przegra wojnę i zgubi monarchię.

Syn Maksymiliana i Karoliny został jednym z najwybitniejszych szefów sztabu francuskiego. Wyeliminowany z listy możnych tego świata przez utratę praw dziedzicznych, zdobył należne mu miejsce dzięki swej niebywale silnej woli i niezwykłej przenikliwości militarnej. Przerósł siebie samego, wzniósł się ponad swą misję dyplomatyczną, rządzi nie tylko ludźmi lecz wypadkami. Karolina może teraz spać w spokoju, gdyż wydała na świat mściciela, który niezależnie od jej woli i świadomości, weźmie za nią odwet od losu. Syn suwerenów Meksyku, dziedzic dynastii Habsburgów, faktyczny cesarz imperium Austriacko-Węgierskiego, będzie zwalczał swe własne armie, swe własne sztaby, swe własne lenno. Wyrokiem siły wyższej, zapoznanej w chwili jego urodzenia, zbrodnia przeciw istotnym prawom dziedzictwa, zostanie srogo pomszczona przez tego generała sztabu głównego, który stawiając czoło wydarzeniom, będzie prowadził armie Francuzów, a w następstwie i aliantów przeciw własnym hordom. Błąd Franciszka Józefa wydał w ręce wrogów potęgę, jaka obali jego własną potęgę. Dziedzic Habsburgów walczy w nieprzyjacielskim obozie i nieraz w mrokach nocy, w okopach Szampanii, rozmyśla o tej niepojętej epopei, w którą rzuciło go przeznaczenie, o ustawicznym rozdwojeniu swej osobowości. W duszy jego powstaje często rozdźwięk między dwoma ludźmi, jakich nosi w sobie. Jest to nieustanna walka między tym, który miał być powołany do realizowania wielkich zagadnień dynastycznych, a tą drugą dziwną istotą, której dusza dojrzała w wypadkach dziejowych po to, by wycisnąć na historii swe niezatarte piętno w walce przeciw własnej ojcowiźnie.

Ponury świt gasi straszliwy koszmar ludzkiego sumienia. Otwierają się zmęczone oczy; cesarz powrócił do mglistej krainy duchów, pozostał generał, pochylony nad mapą w skupionym rozważaniu posunięć, dążących do pomniejszenia tego, co miało być jego potęgą i wielkością. Pozostał tylko generał, obarczony, przez łaknące sprawiedliwości przeznaczenie, imperatywną misją. Prawnuk Napoleona Wielkiego winien ocalić Francję. Dyplomacja wiedeńska stłumiła w okrutny sposób aspiracje księcia Reichstadtu, lecz poryw miłosny arcyksiężnej Zofii przyniesie straszliwy odwet Orlątku.

Cesarzowa Karolina, pogrążona w swej nieprzeniknionej nocy, stała się już tylko symbolem wielkiej misji, syn jej jednak pomści wszystkie krzywdy, przechodzące okrucieństwem ludzką wyobraźnię.

Cesarz austriacki Karol i jego małżonka Zyta zdają sobie dobrze sprawę ze swej nieuchronnej zguby. Nie ma już nawet poco walczyć, trzeba goić rany, trzeba zapewnić sobie jakąś przyszłość, choćby kosztem zerwania przymierza z Wilhelmem II. Gra jest przegrana i trzeba regulować rachunek. Pozorny dziedzic wielkości Habsburgów zostanie przekonany przez swego potężnego kuzyna, dziedzica siły.

Purpura nie potrafi stawiać oporu szabli! Za późno już naprawiać historię. Rządy i monarchie muszą drogo płacić za swe błędy. Nieubłagana sprawiedliwość wyciąga karzącą dłoń nad tronami, a wyroki jej są tak bezwzględne, iż nawet dzieci płacą za winy swych ojców.

Alianci, pewni zwycięstwa, nie przyjmują pokojowych propozycji cesarza Karola. W Niemczech, Wilhelm II rozdrażniony postępowaniem Austrii, które określa jako zdradę, sprowokowaną przez cudzoziemkę Zytę, żąda gwarancji obwarowującej trwałość sojuszu. Stany Zjednoczone przyłączyły się do krwawego tańca. Indianie w Meksyku wyśmiewają się z białych ludzi, którzy mordując się wzajemnie, zostawili ich nareszcie w spokoju. Płomień rewolucji jaka ogarnęła w 1910 roku Pueblę i Chihuahua został stłumiony. Generał Diaz uciekł po otrzymaniu dymisji.

Do stolicy wkroczył tryumfalnie Madero, lecz już 22 grudnia 1913 r. padł ofiarą zamachu wraz z wiceprezydentem Suarezem. Cóż jednak to wszystko znaczy wobec faktu, iż na koniec została otwarta droga dla zupełnego wyzwolenia Indian, tak jak tego pragnęli Maksymilian i Karolina, i że w dniu 5 lutego 1917 r. ogłoszono konstytucję, dziwnym zrządzeniem losu, w Queretaro.

W tym samym czasie w Rosji wybuchła rewolucja. Mikołaj II. zmuszony do abdykacji, po dłuższym internowaniu ginie z całą rodziną krwawą śmiercią w piwnicy domu Ipatlewa. Złowróżbna wieść wstrząsa suwerenami Europy. To początek końca. Nadchodzą nowe czasy, niosąc niepokojące ludy wołania. Włosi zostają pobici pod Caporetto. Zorza komunistyczna płonie nad dawnym państwem carów. Traktat w Brześciu Litewskim zwiastuje utworzenie Sowietów. Lenin przebył państwo niemieckie w opieczętowanym wagonie. Znękani Niemcy, zniszczeni przez głód i rewolucyjną propagandę, ponoszą klęskę pod Amiens.

Austriacy w ostatnim wysiłku zatrzymują się nad Piavą. Sierpień 1918! Generał Foch kieruje działaniami wojennymi, mając u swego boku syna Karoliny. Wkrótce następuje odwrót Niemców, oraz kapitalucja Bułgarii i Turcji. Armie powracają w głąb Państw Centralnych. W Niemczech wre rewolucja, Kaiser musi uciekać, teutońscy żołnierze i marynarze degradują swych oficerów, zdzierają im epolety. Powstaje republika niemiecka. Cesarz austriacki Karol ucieka wraz z rodziną do Szwajcarii. Koniec monarchii! Wybiła ostatnia godzina Romanowych, Habsburgów, Hohenzollernów! W Bawarii szaleje rewolucja. Nad pałacem Ludwika II i nad rezydencją w Possenhofen powiewa czerwony sztandar. Ostatni arcyksiążęta uciekają w góry. Bela Kun tworzy sowiety na Węgrzech. Oficerowie imperialistyczni giną w falach Dunaju, trupy starych magnatów węgierskich płyną do brzegów wyspy św. Małgorzaty. W stolicach powstają nocne lokale o zatrutej atmosferze. Wiedeńskie walce łkają w mrokach nocy. Dostojnicy austriaccy opuścili w popłochu rządowe rezydencje, by ukryć się w swych posiadłościach. Rozdzierające dźwięki pierwszych jazzów rozbrzmiewają w barach. W Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, w Londynie, w Brukseli ludzie śpiewają i tańczą do zapamiętania. Imperium austriacko-węgierskie jest rozdarte na części. Na kontynencie powstają nowe demokratyczne republiki. Europa z zapartym tchem obserwuje doświadczalny eksperyment Rosji, która będzie odtąd galwanizować cały świat.

Wśród ogólnej zawieruchy ocalało tylko małe królestwo na północy, do stolicy którego powrócił okryty chwałą król-bohater. A w alejach parku w Bouchout krąży wciąż stara cesarzowa Meksyku, tak jak gdyby nic się nie zmieniło, jak gdyby ze zgliszcz i popiołów nie powstawała nowa Europa.

(Ciąg dalszy na str. 913).

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

OSTATNIA PRZYSTAŃ...

Znużona jestem i głodna spoczynku,
Choć wiem, że jutro odejdę spokojna —
Mnogo trosk różnych jest na życia rynku
I ostro rani trudów droga znojna...
Śni mi się czasem ta moja mogiła
Gdzieś w cieniu drzew i cichego cmentarza,
Sen jakiś krótki — którym raz przeżyła,
A życie co dzień moje sny powtarza...
W zieleń listowia spowiła i w ciszę,
Wsłuchana w wierną tajemnicę Bożą —
W ziemi mieć będę własną swoją niszę,
Jak wielki pałac italijskich dożów...

Maria de Schönfeld Hayderowa.

DOBRE RADY PANI ZOFII

CZEKAM NA REAKCJĘ

„Koralowe usta". „Jestem studentką — lwowianką, mam duże niebieskie oczy, długie kasztanowate warkocze, dość wysoka i podobno przystojna. Resztę osłania tajemnica, a może to właśnie spowoduje kogoś do napisania listu".

W ten sposób przedstawia nam się nowa „Krainianka". Chyba nie potrzebuję do tego dużo już dodawać. Czekam teraz na reakcję „Rodzinki".

Pozdrawiam Panią serdecznie i zamieszczam komunikaty:

„Młody Orlę", życzę ci szczęścia w podniebnych lotach; lubię przygody i ciekawe wrażenia. Czy mieszkasz we Lwowie; jeżeli zgadłam, proszę o znak. Przyjmij promienny uśmiech.

„Lucyno", czy wiesz, że mamy wspólnego profesora, zgadnij kogo.

Najserdeczniejsze pozdrowienia dla „Krainy".

WIERZĘ

„Lechisław". „Od dawna już obserwuję życie i ruch Krainy. Nie mogę oprzeć się chęci zbliżenia się do grona miłych „Krainianek i Krainiaków", a ponadto przekonany jestem o przychylnym stanowisku Sz. Pani, a nie wiem, czy wśród licznej rodzinki „Krainy" znajdzie się ktoś, kto by zainteresował się moim wezwaniem. Chętnie zapoznałbym osoby miłe i szczere, osoby wyższego polotu ducha, osoby, które na świat i życie patrzą przez pryzmat rzeczywistości. Świat i życie to nieprzebrany skarb tematów aktualnych i tak ciekawych, że chętnie przedyskutowałbym je z kimś. A może któraś z Krainianek nawiąże ze mną korespondencję. Wielce bym się ucieszył.

A teraz coś nie coś z mego paszportu. Nazwisko moje Lechisław, wzrost średni, wiek młodzieńczy, włosy blond, oczy niebieskie, twarz owalna, nos normalny, staroklasyk, obecnie w państwowej służbie cywilnej. Zajęty służbą i pracą społeczną po prostu zapomniałem o swym przeznaczeniu. Obecnie często myślę o sobie i spostrzegłem, że jestem samotny. Choć jestem wielbicielem przyrody, muzyki i śpiewu, to wszędzie jednak przebija coraz bardziej nuta tęsknoty — nuta, która w akordzie miłych „Krainianek" zamieni się w melodię radości, a może i szczęścia. Tak! szczęście, za którym każdy goni, a zamiast szczęścia los gotuje rozczarowanie. Stąd pragnienie osiągnięcia szczęścia nie zanikło u mnie zupełnie; wierzę, że los później czy prędzej raczy łaskawie i mnie opromienić szczęściem trwałym.

Na zakończenie ślę moc serdecznych pozdrowień dla całej „Krainy" i szczery uścisk dłoni".

Na tego rodzaju list nie mogę nic innego zrobić, jak tylko położyć swoje „placet".

Myślę, że list Pana nie będzie ostatnim. Czekam następnego z źle ukrywaną niecierpliwością.

POSTARAM SIĘ!

„Nieszczęśliwa Niniusia". W jednym słotnym dniu października do redakcji naszej listonosz przyniósł podłużną skrzyneczkę, mocno ciężką. I oto co w niej znalazłam — piękne rumiane jabłuszka i smaczne włoskie orzechy, a na dnie skrzyneczki list od Niniusi z ciepłym wykrzyknikiem: „Smacznego"!

Oj smakowały nam też te jabłka, smakowały! Przez cały dzień w redakcji słychać było smakowite chrupanie i co rusz, to ktoś chwalił wspaniały pomysł tej słodkiej dziewczynki z daleka, która nas tak uraczyła owocem ze swego sadu. Wujek Janusz wcale nie był ostatnim z liczby chwalących wbrew swej zwykłej metodzie ganienia (w czasie np. rozmowy z wyznawcami „Teczki".)

Dziękuję Ci, Niniusiu, za tę przesyłkę serdecznie!

Sprawę, o której mi pisałaś, wzięłam sobie mocno do serca i postaram się Ci pomóc. Ogłoszenie w „Mojej Przyjaciółce" dam, ale dopiero wówczas, gdy ukończysz ten kurs. Skutek ogłoszenia na pewno będzie zadowalający — o to się nie obawiaj!

Nie przejmuj się, proszę Cię, tym, że idziesz w otoczenie sobie obce — to nie jest takie straszne, a zdarza się nawet, że obcy potrafią być większym przyjacielem i obrońcą człowieka samotnego, niż najbliżsi krewni i powinowaci. I dla Ciebie, da Bóg, okażą się dobrymi!

Pozdrawiam Cię uściskiem i oznajmiam, iż niecierpliwie będę oczekiwała informacyj szczegółowych, co i jak jest w nowym miejscu Twego pobytu itd. itd.

„Mili „Krainiacy", od niedawna jestem w Chojnicach; wszelką korespondencję proszę przysyłać na adres poste restante Chojnice, dla „Nieszczęśliwej Niniusi".

Pozdrawiam Was wszystkich bardzo serdecznie i wierzę, że pamiętać zechcecie o mnie tak, jak ja o Was pamiętam!"



„Sportsmenka z Kujaw" śle dobre życzenia i sympatyczny uśmiech wszystkim członkom "Krainy."

DO ZOBACZENIA!...

„Róża Leśna". Niepotrzebnie się Pani tak gniewa, przecież nie powiedziałam — ani nawet nie miałam takiego zamiaru — że nie zostanie Pani przyjęta do „Krainy"!

Całe nieporozumienie w tym, że nie doszłam jeszcze w załatwianiu odpowiedzi do Pani listu. Ale dojdę do niego jeszcze i wówczas też popatrzę na fotografię tej małej, czupurnej Dziewczynki, która tak energicznie wycięła mi reprymendę. Nie oburza mnie to absolutnie, przeciwnie nasuwa myśl, że w życiu łatwo daje sobie Pani radę — taka stanowcza i taka energiczna!...

No, już dobrze — prawda? Już „Leśna Różyczka" nie będzie kłuła tak dotkliwie — prawda?

Skoro już pakt nieagresji zawarty, to mogę już pewniej oświadczyć, że niedługo zapewne otrzyma Pani odpowiedź na swój pierwszy list.

Przyjętą do „Krainy" zostałaś z dniem dzisiejszym i bądź odtąd jej wierną członkinią! Posyłam Ci miły uśmiech i wołam „do zobaczenia" na... fotografii!

W OCZEKIWANIU ŚNIEGU...

Chciałbym już jak najprędzej
powitać białą zadumę,
wysłowić — pieśnią słoneczną,
jak tylko umiem...
Chciałbym już niezadługo
usłyszeć — pieśń janczarów,
gdy wieczór — pogodny zapadnie
ponad miasteczkiem szarym — —
Chciałbym, by śnieg najpierwszy
pokrył jesienne ślady...
żeby skrzyształił się w soplach,
zimową, białą balladą...
Chciałbym ująć w swe dłonie
puch śnieżny w gwiezdnych odcieniach...
zamarzłą taflę lodu
poznać po białych — pierścieniach...
Może już niezadługo
skryte życzenie duszy —
śnieg — w wirujących płatkach
białym całunem — przyprószy...
I jesień odejdzie od nas,
gubiąc się w własnych śladach —
a wtenczas rozśpiewa się serce
białą, zimową balladą...

Józef Baranowski.

DYSKUTUJMY!

„Lucet". Mam przed sobą trzy Pani listy i odpowiadam na nie za jednym zamachem.

Przede wszystkim wyrażam swoje zadowolenie, że poczułaś się szczęśliwą, dzięki pozytywnemu załatwieniu Twej ważnej sprawy. A ponadto, że znalazłaś wreszcie prawdziwy cel i chwyciłaś się go mocno. Niektóre pytania są już nieważne, bo w międzyczasie otrzymałaś na nie odpowiedź w faktach — prawda? Pięknie! Więc idźmy dalej:

Chcesz należeć do „Rodzinki" pod pseudonimem „Lucet" i chcesz, aby ona obdarzyła Cię taką sympatią, jaką Ty sama dla niej odczuwasz. To stanie się faktem (tak mniemam) już w niedalekiej przyszłości. Bo jakże by mogło dojść do tego, żeby „Rodzinka" nie odpowiedziała sercem za serce?...

Teraz sprawa Twojej nowelki, otóż jest ona nieco za słaba do druku, dlatego nie skorzystałam z niej, mimo, że jest napisana na tak aktualny i pasjonujący temat! Staraj się zawsze najkrótszą nawet nowelę opracowywać tak sumiennie i głęboko, jak byś to czyniła przy pisaniu powieści, a nieuchronnie wynik będzie bardziej dodatni od tego, który Ci dziś z przykrością podaję do wiadomości.

Zaznacz mi przy najbliższej okazji, czy mam Ci tę nowelę zwrócić i w ogóle, jak postępować w przyszłości z Twymi pracami, na wypadek, gdyby po ocenie nie zostały przeznaczone do drukowania w naszych pismach.

Przychylam się chętnie do Twego projektu, zmierzającego do wywołania dyskusji na łamach „Krainy" na temat powieści, drukowanych w naszym tygodniku.

Co zaś do tego „przekręconego zdania", to proszę Cię nie bierz sobie tego absolutnie do serca — takie lapsusy zdarzają się w każdym piśmie i w najlepszej nawet książce!

No, naopowiadałam Ci niesłychanie dużo, a teraz już stanowczo muszę skończyć!

Pozdrawiam Cię mile i zamieszczam Twój apel:

„Kochana „Rodzinko"!

Czy nie zgodziłabyś się podyskutować na łamach „Krainy szczerości i naszych trosk", na przykład o trzech powieściach, które obecnie idą w naszym piśmie? To było by bardzo interesujące i ciekawe! Taki rodzaj radiowego kwadransu p. t. „Dyskutujmy". Co Wy na to —

Kochane „Krainianki“ i „Krainiacy“? — Bo widzicie, ja myślę, że Tyg. „Moje Powieści“, to nie tylko nasza „Kraina“, ale także wiersze, powieści i nowele — więc dyskutujmy!!! Dobrze? Ożywi to cudownie naszą „Krainę“ i wyprowadzi — z może trochę ciasnego kręgu tylko własnych zainteresowań!“

TYLE JEST WE MNIE...

Dziś tyle jest we mnie dziecięcej swobody
i tak szaleństwem mam głowę nabrzmiałą,
czuję się bardziej rześki i młody, —
że dla mnie na świecie jest miejsca za mało!

I wicher coś pędzi ze mną naokoło świata,
duch płonie jak gorejąca kula...
Czuję się jak możny arystokrata,
co w kasynie gry po nocy hula.

Miasto się zdaje zlepione ze złota,
szary trud codzienności — pajęczyną srebrną.
Nie widzę złości, różnic, ni błota —
na schodach przyjaźnie mówiłem z odźwierną.

Hej! tyle dziś młodzieńczego we mnie zapału,
że krzyknąłbym głośno: świat należy do mnie
i mnie nim tylko dyrygować wolno —
choć dotąd o sobie myślałem skromnie...

Pięknie do mnie — czy ze mnie — śmieją się
ludzie —
i ja z życia się śmieję — i do życia,
mój zapał nie utyka, jak koło po grudzie,
ale czasu nie mam, by używać... życia!...

Zbigniew Wicherek

PRZYJMIJ SŁOWA OTUCHY!

H. B. — D. Dziękuję Pani uprzejmie za gorące słowa uznania, wyrażone pod adresem naszego pisma. Współczuję też Pani ogromnie i smutno mi, że życie okazuje się dla Niej tak niełaskawe. Gdyby to było w mojej mocy, pomogłabym Pani chętnie, ale, niestety, nic nie mogę uczynić takiego, co by Panią uszczęśliwiło. Jedynie tych słów kilka — szczerych i serdecznych — skierować mogę do Pani i poprosić, abyś je przyjęła tak szczerze, jak szczerze są wypowiedziane.

Owszem, pracy mam dużo, jak słusznie się Pani domyśla, ale niemniej bardzo chętnie posłucham zawsze smutnych skarg Pani i gdy będę mogła — pocieszę! A dziś zwracam sie do Pani z prośbą, abyś koniecznie nie traciła wiary w lepsze jutro i w to, że życie nie same tylko ciernie przynosi, a zatem i Pani raz wreszcie da chwilę jasności i ukojenia. Da Ci przede wszystkim możność spokojniejszego bytowania, da pewny chleb, który jest ostoją dla wiecznie zapracowanego, a mimo to często głodnego człowieka!

Pocztówkę przesłałam na właściwy adres i nie wątpię, że otrzymała Pani już odpowiedź!

Sądzę też nie bez racji (jak przynajmniej się spodziewam), że „Krainiacy“ nie pozostawią Pani bez swej opieki, na którą zasługujesz.

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i zapewniam, że z niepokojem będę oczekiwała dalszych o Niej wiadomości!

POSŁUŻĘ SERCEM I RADĄ!

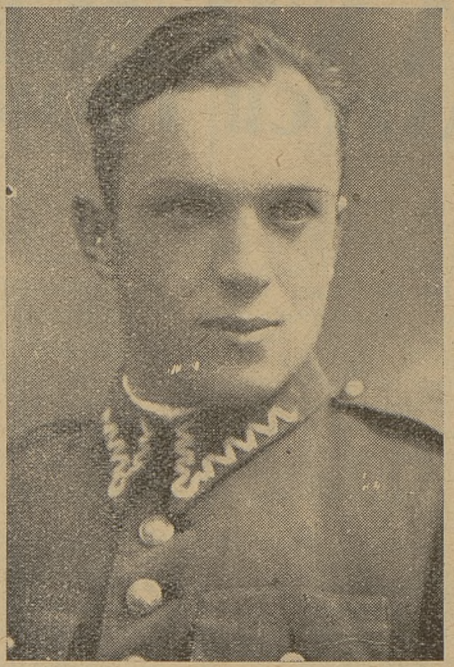
„Zaira“. Przyjmuję Cię, Dziecino, do naszej „Rodzinki“. Przejął mnie niezmiernie plastycznie przedstawiony obraz Twych dziejów — doprawdy niełatwe miałaś życie, Kochana Ty moja!

Pragnieniem moim jest, abyś poczuła się w naszym gronie wreszcie spokojna i bezpieczna! Możesz nadal pisać do mnie tak otwarcie i szczerze — sercem Ci służyć będę i cierpliwą radą. A przyjaciółkę, której tak pragniesz, znajdziesz w naszej „Rodzince“ na pewno. Bywaj mi na razie!

BĄDŹ DOBROCI ANIOŁEM

Niech nigdy radosny uśmiech
nie schodzi z twoich warg.
Niech nigdy, nikt nie usłyszy,
z tych ust narzekań, skarg.
Uśmiechem zawsze powitaj
każdy pogodny dzień,
a z czoła twoich najbliższych,
wnet pierzchnie troski cień.
Ty zawsze chętnie, ofiarnie
pomocną podaj dłoń
i niech jaśnieje w twych oczach
nieba pogodna toń.
O, bądź dobroci aniołem,
pielęgnuj cnoty kwiat,
a wtenczas kobieta - Polka,
zdobędzie cały świat!

Jadźka z Kujaw.



„Błędny Ognik” niecierpliwie oczekiwał chwili przyjęcia do naszego grona. A dziś spełnia się jego życzenie — zostaje oficjalnym członkiem „Krainy”.

PRZYMIERZE ZAWARTE!

„Błędny Ognik“. Pisze Pan do mnie, jak to powtórnie stwierdziłam w ostatnich dniach, tylko wierszem. Żałuję, że nie jestem Wujkiem Januszem i nie mogę Ci również odpowiedzieć rymami. Z drugiej strony czuję wyraźnie, że Wujek by się w takie rymowanie nie zabawił. Wiadomo, co człowiek, to inny charakter, inna, jak by to powiedziała jedna z moich miłych „Krainianek“ — psyche!

Więc skoro już nie czuję się na siłach, by odpowiedzieć Ci zwrotkami wiersza, to przynajmniej przytoczę urywek Twego własnego, w którym to tak szumnie mówisz mi to i owo. Zaznaczam jednakże, że nie tyle forma wiersza skłania mnie do przedruku, ile jego dowcipna treść. Jeżeli chodzi o wartość Twoich wierszy, to muszę niestety Ci wyznać, że bardzo, bardzo jeszcze jest niewyraźna!

Abyś jednakże nie powziął niesłusznych pretensyj, co do tej mej szczerej oceny, przeto przedstawię je jeszcze Wujkowi Januszowi do sklasyfikowania.

Miałam szczery zamiar zamieścić wiersz, słowami którego przedstawiasz się naszej „Rodzince“, ale nie mogłam tego uczynić z uwagi na słabą jego formę. Niemniej nabrałam moc sympatii do Pana i cieszę się, że będziesz odtąd naszym czynnym członkiem. Bo nie wątpię w to, że często zechcesz pogawędzić z nami, obojętnie czy za pomocą prozy, czy też w dalszym ciągu — wierszem.

Nasz nowy członek ma lat 26, z których sześć przeżył w wojsku. Jest kapralem w służbie czynnej i bardzo chwali sobie służbę dla Ojczyzny. Kocha wojsko, a teraz jeszcze pragnie pokochać „Krainę“. Nas to oczywiście mocno cieszy! I już dziś uśmiechamy się do tego przymierza, które ze swej strony ogromnie serdecznie nam ofiarowuje.

Zatem pozostaje nam tylko na jego pozdrowienie: „Czołem!“ — odpowiedzieć — „Cześć“! i czekać dalszych przyjacielskich strategij!

A teraz ten urywek!

KRÓLEWNO NASZEGO KRÓLESTWA!

Ręka mi drży, serce mocniej bije,
Tak, jak bym już od „Królewny“ dostał kije
za mój list pierwszy, nieśmiały —
Cóż poradzę, w „Krainie“ jestem pionek mały.
Bo są tam przecież już dawni Twoi poddani,
Tobie, Królewno Zofio, wiernym sercem oddani.
Masz, Pani, wśród nich serca poetów, marzy-
[cieli,
Którzy za Twój uśmiech życie oddać by chcieli
Masz, Pani, znajomych z różnych stron Polski,
Którzy pozdrawiają Ciebie i Żnin Wielkopolski
I cieszą się Twoją przyjaźnią, zaufaniem,
Obdarzają wraz z Tobą „Krainianki“, „Kra-
iniaków“ kochaniem.
Prosiłem Cię, o Królewno, w liście o przyjęcie
I że zostałem przyjęty jestem pewny święcie
I że w numerze 41 jest mój pseudonim!
„Błędny Ognik“ i ja dziś do Ciebie gonim.
Upadamy przed Tobą, pokłony bijem pod-
dańcze
My pierwsi, gdy przyjdzie potrzeba, pojdzie-
[my na szańce,
By bronić naszej dobrej Królewny z „Krainy“,
Gdy ciężkie nad Krainą zaciążą godziny.
Ja już wierzę, że Królewna przyśle dwa nu-
[mery
41-szy nieotrzymany i nowy czterdzieścicztery.
Że w ostatnim tygodniku otrzymam pozdro-
[wienie,
A ja zawsze będę wierny „Krainie“, na każ-
[de skinienie.
Napisałem wiersz, który Ci posyłam do prze-
[czytania
I czekam Pana Janusza skrytykowania.
Chcę zasięgnąć rady, czy mam liczyć w siły,
Gdyby tak, czułbym się bardzo szczęśliwy.
A dla Pani Zofii z całego serca życzliwy.
Proszę jeszcze o wydrukowanie
Mojego wezwania
Na baczność stoję, cześć Ci, Zofio, oddaję.
Cześć!!!

TAKIE DZIEJE SIEJĄ RADOŚĆ!...

„Szczęśliwa żona“. Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam list Pani od pierwszego do ostatniego wiersza. Dzieje kobiety pracowitej, dzielnej i dobrej są zawsze godne głębszej uwagi, bo bardzo podnoszą na duchu i krzepią! No i sieją w sercu jasną, cudowną radość! A to jest poważna kwestia, dotycząca szczęścia ludzkiego!

Cieszę się, że ten list mogłam przeczytać — zrobił mi dobrze, że użyję tego popularnego określenia!

I wzajemnie, ja mogę Pani donieść, że wierszyki Jej podobają mi się. Właśnie drugi przedrukowuję w bieżącym numerze.

Proszę przysłać inne swoje prace — ucieszę się, gdy będą równie gładko napisane.

CZEKAM NA CIEBIE!

Czekam na ciebie,
Gdy gwiazdy na niebie
Migocą...
I świecą!
Gdy księżyc wzejdzie,
Wtenczas nadejdzie
Tęsknota...
Z ochotą,
Do ciebie biegnę,
Przeszkody przebrnę,
Za oknem twym stoję,
Najdroższe dziewczę moje!
Lecz ty...
Nie słyszysz głosu mego,
Czy masz chłopca innego?

Marta Domagałowa

TO RADOŚĆ!...

„Płacząca Brzoza“. Nie ma Pani pojęcia, jak ucieszyła mnie wiadomość, podana mi przez Nią! Większej niespodzianki, w sensie radosnym, nie mogła mi Pani uczynić! Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, bo widać, jak dobrotliwie czuwał nad Panią i jaki okazał się dla Niej hojny!

Ma Pani u Niego dług, który całe życie winnaś opłacać żarliwie!

No i jeszcze dla jednej żyjącej, a dla Ciebie teraz tak bliskiej osoby, winnaś zawsze być dobrą — dla kogo, wie Pani sama najlepiej!

Fotografię może Pani nadesłać — zamieszczę, gdy będzie odpowiednia do reprodukcji.

Cieszy mnie też niewymownie, że moja życzliwa rada dała Ci aż tyle mocy do przetrwania chwil ciężkich. Fakt ten będzie mi niesłychanym bodźcem w mej cichej, a przecież, jak się znowu przekonałam, nieraz owocnej pracy.

Brakujące Pani numery — zleciłam przesłać naszej administracji.

Pozdrawiam Panią życzliwym uśmiechem i w Jej imieniu wyrażam serdeczności dla całej „Krainy“.

„Serdeczne pozdrowienia dla „Poziomki z Podlasia“ — za późno; „Zazy“, „Marteczki“.

„Szara Niedolo!“ Napisz — ja też byłam wychowana w Rosji. Czekam! Mój adres: Skępe — Piątki (szkoła).

PSEUDONIM — WYBRAŁAM!

„Młoda Lublinianka“. Wybrałam Ci, Droga Wiesiu, pseudonim, ale nie wiem, czy będzie Ci się podobał. Jakby nie było, będziesz

musiała pozostać przy nim równie lojalnie, jak powierzyłaś mi jego wybór!

Że jesteś mocno zapracowana, z tym zgoda, ale nie wolno Ci nadal pozostawać tak bezbrzeżnie smutną — pamiętaj!

Wierszyk nadeślij śmiało!

„Krainiakom" polecam tę nową „Siostrzyczkę" — bądźcie dla niej mili!

POPRAWIĘ DO DRUKU

„Maleńka Halszka". Ładnie, że odezwałaś się na mój apel, teraz już zanotuję go sobie w księdze ewidencyjnej „Krainiaków".

Wierszyki przyślij mi proszę powtórnie, podsygnowane pseudonimem, a gdyby to nie sprawiło Ci specjalnej różnicy, to imieniem i nazwiskiem również. Wierszyk Twój p. t. „Są dusze", poprawię do druku — ukaże się zapewne niedługo.

Za promienne uśmiechy dla „Krainy" i dla mnie dziękuję i odwzajemniam je z przyjemnością!

POZDROWIENIA!

„Kochane Oczęta" przesyłają wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" serdeczne pozdrowienia.

Dziękujemy Ci za pamięć i odwzajemniamy się szczerze!

WYJEŻDŻASZ?

„Owambo". Wyjeżdżasz więc do Poznania, Dziecino? Napisz mi dużo o sobie z tego nowego miejsca swego pobytu i czuj się tam jak najlepiej!

„Halo! Poznaniacy! Wkrótce będę w Poznaniu, chciałabym wśród Was znaleźć kogoś, z kim mogłabym szczerze porozmawiać. Kto chciałby mnie poznać, proszę niech się ze mną skomunikuje. Czekam na echo i pozdrawiam!

„Zrównoważony Jasiu"! Dziękuję Ci za pamięć, może do mnie napiszesz? Ściskam prawicę!

P. J. Baranowskiemu ślę uznanie za wierszyki i miłe pozdrowienia".

DZIĘKUJĘ!

„Krzysia — leśniczanka". Dziękuję Ci za nadesłanie adresu. Zadowolona jestem także, że przyjęcie do naszego grona sprawiło Ci dużo radości. Pielęgnuj tę radość pilną korespondencją z nami i bądź mi zdrowa!

TECZKA wuja Janusza

NIE POWIEDZIAŁEM JESZCZE OSTATNIEGO SŁOWA!

„Błędny Ognik". Miło mi przyjąć Pana w szeregi członków naszej „Teczki". Miło, choć pierwsze wiersze Pana, (Dzień Zaduszny i listy wierszowane do p. Zofii) uznaję za niedojrzałe jeszcze do przedruku. Nie tracę jednakże bynajmniej nadziei, że będę miał jeszcze z Pana pociechę. Proszę przyjąć moje przyjazne pozdrowienia, tudzież radę, abyś czytał dużo dobrej poezji dla wprawy!

PRACUJ GORLIWIE!

„Irusia z Wołynia". O, wcale nie każę drzemać Twej inwencji twórczej — z wierszyka, który idzie w dzisiejszym numerze, wyciągam wcale dodatnie wnioski i przyjemne na przyszłość stawiam Ci horoskopy. Pracuj tylko gorliwie i z zaparciem, a będzie z Ciebie, mam wrażenie, pociecha.

Resztę wierszy ocenię później! Vale!

DLA ZACHĘTY

M. D. — Ż. Wierszyk Pani pt. „Czekam na ciebie!" nie jest z kategorii wierszy b. dobrych, ale dla zachęty do druku go przeznaczam.

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie!

Z UŚMIECHEM!...

„Romek". Wierszyki Pana p. t. „Czarne oczy"... i „O wiem!" — są tak nieudolnie napisane, że nie warto nawet o nich mówić!

Nie sądzę, abyś Pan rychło nabrał większej umiejętności rymowania, wszelako próbuj — papier jest cierpliwy, ja chętnie służę radą, a Ty masz na pewno dużo wolnego czasu.

Proszę się nie przejmować ostrą oceną i powiedzieć sobie z uśmiechem, że nie na samych poetach świat stoi!

Posyłam Panu mocny uścisk prawicy!

DO DRUKU!

„Burza". Wierszyk Pani pt. „Trzeba" zakwalifikowałem do druku. Proszę przysyłać mi dalsze do oceny, a na razie przyjąć moje uprzejme ukłony!

TRZEBA....

Trzeba iść, choć droga, hen, daleko mknąca,
Pełna zakrętów i spadzistych dróg — — —
I piąć się wzwyż — tam hen do słońca...
...Do gwiazd złocistych i różanych zórz.
...Trzeba uśmiechnąć się, choć nie ma komu,
Choć sercem targa głuchy żal — — —
Trzeba łzy otrzeć pokryjomu — —
I — • — samej odejść —
— — —w dal.

„Burza".

Z RANNYM MARZENIEM...

Do serca lekko z rannym marzeniem
Spłynęła miłość świetlana,
I cichuteńkim słodyczy drżeniem
Śpiewa o tobie, kochana!
Na skrzydłach ciszy, cudem jasności,
Płynie myśl w szczęścia krainy,
I pławi wzrok swój w blaskach miłości,
W porannych marzeń godziny.

Eugeniusz Halman.

W NOC...

Już czarny bezkres wieczoru,
noc gwiezdną zalała falą...
Smutek zgorzkniały, a lichy
po niemej het, błądzi dali...
Z pól sennych, głuchej przestrzeni,
dolata mnie wichru szlochanie...
Już serce — we łzach się mieni,
Bo w własne wsłuchuje się granie...
A w myśli tak ciemno, tak ciemno,
że przejrzeć — choć chcę, nie mogę.
Coś ściga i dławi na przemian —
przeczucie — wspomnienie srogie...
Wicher wciąż wyje, a szlocha —
hen borów smętne śpiewanie...
Czy się uciszy choć trochę,
to moje wichru granie?...
Noc się gwiazdkami wciąż złoci,
wiatr cicho porusza drzewem...
A smutna ma dusza młoda
jest wichru stłumionym śpiewem!...

W. Kreftówna.

JESZCZE SŁABE!

„Munia Tolina". Wierszyki Pani są jeszcze ogromnie słabe! Z dwóch nadesłanych (dla zachęty) do druku wybrałem (i to po gruntownej poprawce!) ten zatytułowany „Gwiazdy", zaś drugi znalazł pomieszczenie w koszu.

Pozdrawiam Panią i czekam na poprawę w dalszych pracach!

GWIAZDY

Szłam drogą leśną w noc cichą i ciemną,
A gwiazdy jasne świeciły nade mną.
Pytałam więc jasnych, lśniących z daleka,
Czemu tak szybko czas mija, ucieka..
Gwiazdy, migocąc szeptały mi z nieba...
Ufać ci tylko, a pytać nie trzeba!

„Munia Tolina".

WRÓĆ!

Gdy smutkiem serce zasnuje
Tęsknota za tobą, kochany,
To wiesz, pociechę znajduję
W twym liście, niedawno pisanym.
Piszesz w nim, że wrócisz do mnie,
Że wkrótce się zobaczymy,
Że kochasz mocno, ogromnie
I tęsknisz do swej dziewczyny!
Wierzę — i czekam godziny,
Kiedy się spełni wyśniona,
Kiedy się w twoje, jedyny,
Najdroższe wtulę ramiona. — —
— — — Ledwo się dzionek zabieli
I wyjrzą poranne zorze,
Już myślę — wstawszy z pościeli,
Że cię zobaczę dziś może! —

„Czarodziejka".

PRZYZNA MI PANI RACJĘ

„Te - Em". Przykro mi, że muszę odmówić prośbie Pana, dotyczącej honorowania nadesłanych przez Niego prac, ale — mimo najszczerszej woli po temu — nowel Pana nie mogę, niestety, jeszcze uznać za bezsprzecznie dojrzałe do druku bez poprawek, zarówno w konstrukcji, jak i stylu. A tylko takie mogą być uważane za niedebiutanckie i jako takie — honorowane.

Mam tu następujące trzy nowele Pana: „Przy grobie", „Kariera" i „Wierny sługa".

Z tych dwie pierwsze uważam w ogóle za mało odpowiednie do druku, a trzecia pt. „Wierny sługa", która ma z nich jeszcze najwięcej walorów, też wymaga silnej poprawki stylu, a co najgorsze, ma poważny błąd w konstrukcji.

Przyzna mi Pan niewątpliwie rację, że sąd nie mógł w żaden sposób zasądzić bohatera nowelki wbrew wszelkim przeciwnym poszlakom. Wszak policja stwierdziła, że odciski palców na szyi zamordowanego i na szklance były identyczne z odciskami palców córki zamordowanego. Skąd ów nagły zwrot w dochodzeniach i to nielogiczne, ba! wręcz karygodne zasądzenie starca, który nie miał najmniejszego powodu do uśmiercenia swego chlebodawcy, ani też nie posiadał dość złych sił psychicznych na wykonanie zbrodni. Czyż autor chce zasugerować czytelnikom, że policja i sąd nie mają nawet tej odrobiny logizmu, która potrzebna była do spostrzeżenia dramatycznego powikłania, jakie tam wystąpiło? Przecież każdy z miejsca pomyśleć musiałby, że zbrodni dokonała trzecia osoba, którą należy znaleźć. A czyż sąd musi koniecznie być mniej bystry od przeciętnego człowieka?

Więc zgodzi się Pan ze mną, że autor okazał się tu nie tylko nieprzewidującym, ale wręcz lekkomyślnym. A takim być mu nie wolno, gdyż chce zyskać uznanie swoich ewentualnych czytelników-krytyków. Bo trzeba Panu pamiętać, że czytelnik jest przede wszystkim krytykiem i trzeba popracować, nim się w nim zdobędzie zwolennika.

Dlaczego piszę to wszystko Panu? Otóż aby mu dowieść, że jeżeli nie godzę się na drukowanie nowel Jego, to nie czynię tego z jakiegoś wyrachowania, a tylko z rzetelnego przekonania, że nie piszesz jeszcze dość odpowiedzialnie.

Dla zachęty mógłbym dać taką pracę raz i drugi w „Moich Powieściach" i tak też czyniłem odnośnie do nowel Pana, jak i innych adeptów poezji, tudzież literatury, ale skoro znam już i uznaję aspiracje Pana, nie mogę być coraz pobłażliwszy, lecz coraz bardziej wymagający.

Pan chce zostać dziennikarzem, przeto trzeba Panu już dziś zrezygnować ze ślizgania się po łatwiznach, a wziąć się do rzetelnej pracy.

Ja zawsze chętnie posłużę radą i oceną, a gdy uznam tę czy inną pracę za dobrą, nie omieszkam jej przyjąć do druku i opłacić — może Pan w to nie wątpić!

Ale zaznaczam ponownie, że płatne nowele nie mogą mieć niedociągnięć pod żadną postacią, z ortografią włącznie!

Wierszyki ocenię później, gdyż mam nawał bieżącej pracy, która wymaga załatwienia.

Proszę mi donieść, czy omawiane nowele mam Panu zwrócić i gdzie!

Pozdrawiam Pana serdecznie i oczekuję odpowiedzi.

Komunikaty:

P. M. Grzegorski! Pan już „pływa" na szerszych wodach! Ja też! Raczej lecę na falach eteru do mieszkań w formie skeczów. I mam nadzieję, że nim skończę 20 lat napiszę „coś porządnego". Pozdrowienia. I proszę się odezwać do mnie!

P. Józef Baranowski — Uznanie za wiersz pt. „Symfonia jesienna".

„Roztrzepana Mulunia"! — może... jednak... nie warto?!...

„Zbijobruka Poznańskiego" i „Banialuke" bardzo a bardzo przepraszam za milczenie! Spodziewam się porządnej bury, ale na razie nie mogę pisać!

„WIELKI WÓDZ"

Jesteś największym Polski rycerzem,
Nad głową Twoją gloria zwycięstwa,
W oczach Twych płoną pochodnie męstwa,
Bo kraj swój miłujesz szczerze...

Niczym dla Polski są huragany
I niczym drapieżne sępy,
Bo wszystko zwalczy — podrze na strzępy
Rydz Śmigły — wódz ukochany!...

Oby Ci wszystkie rosy kropelki —
Wszystkie promyki słonka błyszczały,
Zaczarowany rycerzu chwały —
Za to, żeś męstwem tak wielki!

Irena Maria Wójcikowska.

Ubarwmy życie małego miasteczka

„My home is my castle", mówi stare przysłowie angielskie. Po polsku można by to określić, że „mój dom jest dla mnie wszystkim". Przysłowie to odnosi się do Angielek, które jednak z drugiej strony znane są z tego, że lubią podróże, krótsze lub dłuższe, począwszy od zwykłego week-endu, aż do podróży naokoło świata. A mimo to Angielka jest mistrzynią w wytwarzaniu atmosfery domowej, obojętnie czy ono będzie się ograniczało do pożycia małżeńskiego we dwoje, czy też drzwi domu zostaną otwarte dla większego lub mniejszego kręgu znajomych. Umiejętność przyjmowania i bawienia gości nie jest sztuką trudną, która by wymagała aż monopolizowania rozwiązania tego zagadnienia przez mieszkanki Albionu. Przy odrobinie samozaparcia się i dobrych chęci możemy tego dokazać. Oczywiście, że te dwie zalety musi posiadać nie tylko pani domu, lecz w równej mierze także i zaproszeni goście.

Dlaczego o tym piszę? Przyczyna bardzo prosta: nastała już chłodna jesień, wkrótce przyjdzie pani zima, a z nastaniem tego czasu rozpoczyna się tragiczny okres życia małego miasta. Cóż bowiem robić w małym mieście, gdy wszystkie możliwe miejsca spacerowe pokrywa grząskie błoto, gdy w ciągu jednego wieczoru zdołaliśmy w jedynej miejscowej kawiarni (o ile taka w ogóle istnieje) przeczytać od deski do deski wszystkie tygodniki, a w domu czeka nas, samotników (a również samotniczki!) nuda znanych do obrzydzenia ścian i chłód obcości „meblowanego pokoju".

Nieraz w takich chwilach marzymy: jakby to było dobrze, gdyby tak zebrać parę osób i chociaż tylko pogawędzić z nimi, by spędzić w miłym nastroju jeden lub dwa wieczory w tygodniu.

Tak, ale najczęściej marzenie pozostaje marzeniem. Czegoś brakuje nam do wzajemnego porozumienia się. Tyle już się o tym pisało, że naprawdę nie będzie rewelacją nazwanie tego braku nieumiejętnością wzajemnego współżycia.

A przecież już Arystoteles powiedział, że człowiek jest stworzeniem towarzyskim. Jeżeli ktoś jest samotnikiem, obojętnie z jakiego powodu, to nigdy nie będzie swej samotności uważał za szczęście, lecz raczej za tragedię.

Sztuka współżycia z ludźmi staje się dla nas źródłem wielu radości i pożytków. Życie towarzyskie wzbogaca nasze życie duchowe, dając nam pełnię wrażeń wszelkiego rodzaju, a umiejętność pożycia z ludźmi pozbawi nas wrażeń przykrych, których nie unikniemy, nie wyrobiwszy się na dobrego towarzysza zabawy.

Zasadniczą umiejętnością, potrzebną do uzyskania pełni zadowolenia z pożycia z bliźnimi jest zdolność zorientowania się w poszczególnych typach ludzi, ażeby uzyskać zdolność podejścia do każdego z nich, ażeby z każdym znaleźć wspólną platformę porozumienia się, chociażby za cenę wyrzeczenia się niektórych naszych, egoistycznych przywyków.

Istnieje cały szereg ludzi, którzy twierdzą, że pierwsze wrażenie, odniesione z nowo poznanej osoby, jest najlepsze. Twierdzenie to posiada wszelkie znamiona powierzchowności, tak jak powierzchownym jest właśnie pierwsze wrażenie. Trzeba temu twierdzeniu na korzyść przyznać, że pierwsze wrażenie jest bardzo silne, ale przecież z drugiej strony, iluż ludzi istnieje na świecie, którzy są mistrzami w ukrywaniu swych zalet i wad! Dopiero bliższy kontakt z nimi i połączona z tym bystra, obiektywna obserwacja, pozwalają nam na zgłębienie charakteru naszego bliźniego.

Nie znaczy to bynajmniej, byśmy do każdego człowieka mieli podchodzić od razu z nieufnością, źle ukrywaną, lodowatą rezerwą i pozwalali mu odczuć, że poznanie go nie jest nam szczególnie przyjemne. Wprost przeciwnie, należy przyjąć go uśmiechem zachęcającym, nawet wówczas, gdy wzajemnie odczujemy, że w przyszłości mało będziemy mieli z sobą punktów stycznych, choćby z tej prostej racji, że wzajemny kontakt na pewno sam przez się przerwie się szybko.

Życzliwy uśmiech. Rzecz, o której zbyt często zapominamy. Utkwiły nam w głowie i zaimponowały bezbarwne, „spleenowate" twarze zimnych Anglików, cedzących bez poruszenia muskułów twarzy co pół godziny trzy słowa. Zgoda, ale pozwólcie, że „ja to między filmy włożę". Nie zna Anglika, kto będzie twierdził, że nie umie się on uśmiechnąć. Co innego znaczy opanowanie prawdziwego Anglika, a co innego kwaśny wyraz twarzy człowieka chorującego na żołądek. A właśnie takie wrażenie robią oblicza ludzi siedzących przy stolikach kawiarni i wielkomiejskich i małomiasteczkowych.

Chciejmy i my zdobyć się na przyjazny uśmiech, który będzie pierwszym krokiem do nawiązania łączności z bliźnimi, do wprowadzenia pogodnej atmosfery w towarzystwie.

Może ktoś wśród nas, „ludzi na meblowanym pokoju", płci obojętnej (t. zn. obojętnie jakiej, a nie nieokreślonej) posiada pokój o tyle niekrępujący, że gospodyni nie robi rano awantur o niedopałek papierosa, leżący na podłodze i lekkie zadraśnięcia wywoskowanej posadzki. Przecież są gospodynie, które cieszą się, gdy ich sublokatorka lub sublokator przyjmują gości, kolegów i koleżanki. Nawet herbaty gorącej przyniesie i za światło nie policzy na pierwszego. A jeżeli ponadto jest muzykalna, to jej patefon lub radio nie będzie przeszkadzało!



Dla tańca nowoczesnego nie potrzeba dużo miejsca. Fot. Niebuhr

Kochani Czytelnicy, czy sądzicie, że takich gospodyń nie ma? Są, tylko trzeba również i do nich umieć się uśmiechnąć, bo one też są naszym bliźnim.

Mamy więc pokój, przychylność gospodyni, patefon i zapraszamy gości na skromne przyjęcie, opłacone... przez nich samych... Tak! Dosłownie! Goście robią między sobą zbiórkę groszową (np. 10 osób po 50 gr, to zn. 5 zł.). A ile dobrych rzeczy można zrobić za parę złotych, mogą Szan. Czytelniczki dowiedzieć się, czy to z „Moich Powieści", czy z „Mojej Przyjaciółki"!

Chciałbym tylko zwrócić na jeden szczegół uwagę, o którym bardzo często się zapomina: mianowicie na estetykę, nakrycia i estetykę wnętrza pokoju, w którym przyjmujemy gości.

A już nie będę tutaj zagłębiał się w szczegóły przybrania pokoju i stołu, pozostawiając to w zupełności indywidualnym gustom gospodyń.

Wyłania się teraz bardzo ważna kwestia, czym zabawić gości, bo przecież jeść i rozmawiać przy stole przez parę godzin wieczoru niepodobna!

Ogólnie przyjętą i bardzo lubianą rozrywką jest taniec. Dla tańca nowoczesnego nie potrzeba dużo miejsca, a najlepszym instrumentem muzycznym będzie w tym wypadku patefon. Jeżeli jest fortepian, to na pewno znajdzie się osoba, umiejąca grać na nim, a jeżeli ponadto ktoś przyniesie ze sobą skrzypce lub inny instrument, to stworzyć można sobie kilka bardzo miłych chwil, słuchając muzyki poważnej lub popularnej. Dużo istnieje również młodych osób, dysponujących miłym głosem, a więc znowu wyłania się możliwość zaprodukowania jakiejś arii lub znanego przeboju.

Innego rodzaju rozrywką jest brydż, tylko trzeba pamiętać o tym, że goście niebiorący udziału w grze, nie mogą się nudzić.

Dla wytchnienia w tańcu można w kilka osób usiąść w zacisznym kąciku i przy lampce wina pogawędzić... ale broń Boże o sprawach codziennych, a przede wszystkim o naszych bliźnich, nie znajdujących się między nami. Osławiona plotka małomiasteczkowa niech pozostanie monopolem dewotek i przekupek. Przecież tyle innych istnieje tematów, interesujących każdego, a z drugiej strony w małym, dobranym gronie zawsze znajdzie się ktoś, kto umiałby coś ciekawego powiedzieć.

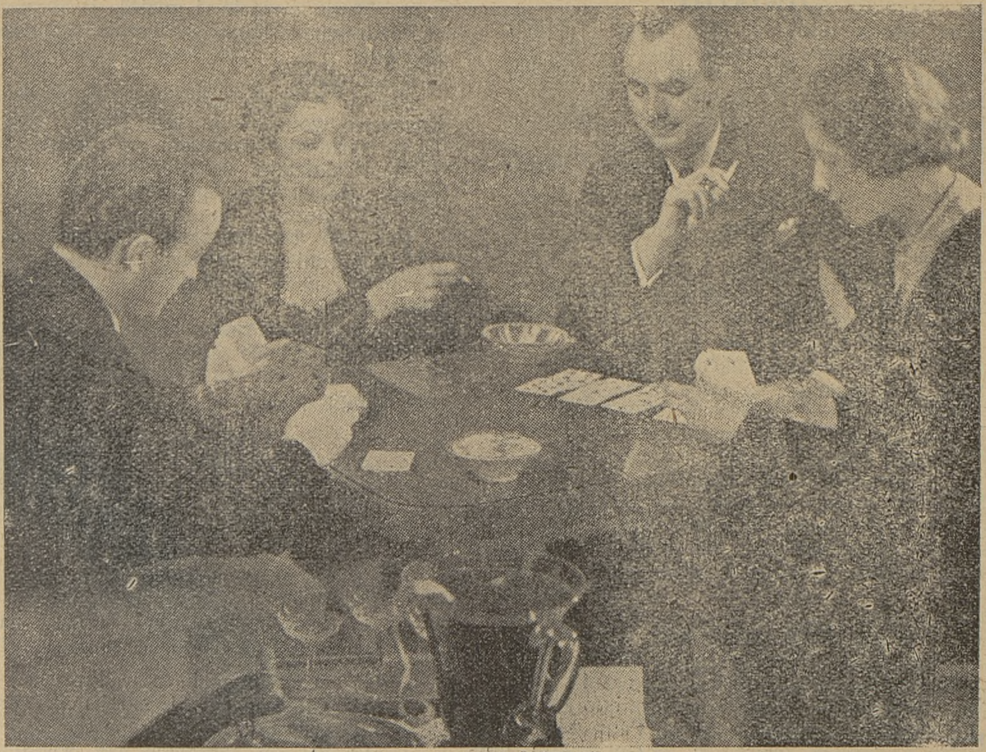
Jak się ubrać na taki wieczór? Panie w raczej skromnych, wieczorowych sukienkach, panowie w ciemnych garniturach będą wyglądali zupełnie na miejscu. Strój szary, codzienny przyniósłby z sobą na tych parę beztroskich chwil cały balast trosk całego dnia pracy, które lepiej razem z ubraniem pozostawmy w domu.

Potęga niewymuszonego uśmiechu życzliwości, odrobina dobrej woli i samozaparcia się — są najlepszym fundamentem beztroskiej zabawy, a kogoż z młodych na to nie stać?!

A więc..?

Umiejmy wykorzenić z siebie przekonanie, że małomiasteczkowa nuda, a z nią cała cudaczna mentalność prowincji jest nie do przezwyciężenia. Przeplatajmy codzienną walkę o byt chwilą beztroskiej zabawy, bo tylko raz w życiu jest się młodym.

Henryk Lindemann.



Pasjonującą rozrywką jest brydż. Fot. Niebuhr

XXII.

Wojna już skończona. Żołnierze armii aliantów długo się wałęsali w stolicach. Szkoci, Irlandczycy, Kanadyjczycy zakwaterowani w Belgii, przechodzili wieczorami aleją kasztanową wiodącą z Meysse, przy dźwiękach pieśni „Tipperary" lub nieskładnym śpiewie kobz.

Były to chwile, gdy ostatni kombatanci wielkiej wojny powracali do swych krajów, pozostawiając za sobą na liniach frontu olbrzymie cmentarze, znaczone setkami tysięcy białych krzyży. Żołnierze 72-go pułku kanadyjskiego, zakwaterowanego w pobliżu Bouchout, w czasie niedzielnych spacerów, odczytywali na głos stare afisze niemieckie rozklejone na ogrodzeniach parku, opowiadając sobie tajemniczą historię cesarzowej Meksyku.

Oddziały niemieckie przesunęły się definitywnie za Ren. Bóg wojny, Wilhelm II. wraz z kronprinzem musieli szukać schronienia w Doorn. 28 czerwca 1919 r. został podpisany Traktat Wersalski. Geografowie kreślili nowe mapy świata.

Z biegiem lat obłęd Karoliny przybrał spokojniejszą formę. Ustały sceny nieopanowanego gniewu, wybuchy straszliwego rozgoryczenia zdarzały się coraz rzadziej. Już od 48 lat cesarzowa błądzi po alejach swego parku. Objawy zaćmienia umysłowego stały się mniej wyraźne, rozmowy wykazują więcej logiki, zapomniane wspomnienia wypływają z nową siłą i niekiedy, w czasie konwersacji, prowadzonej przy niej, cesarzowa cytuje poszczególne fakty i daty, świadczące o tym, iż nie wszystkie wydarzenia, które przeszły obok niej, zagubiły się w mrokach nieświadomości.

Pewnego popołudnia letniego, cesarzowa zeszła jak zwykle na brzegu stawu. Usiadłszy w cienistej alei, patrzyła w zamyśleniu na zbity gąszcz rododendronów, słuchając głośnej lektury swej damy dworu. Przy końcu rozdziału, w którym była mowa o cesarzowej austriackiej Elżbiecie, lektorka odezwała się: „Elżbieta była córką księcia Bawarii, Maksa".

Zdanie to wpada w bezdenną głąb, lecz budzi jakieś myśli w cesarzowej, która duma z przymkniętymi oczami. Ręka, pokryta pożółkłą skórą, wsparta na meksykańskiej lasce wykonuje jakiś nieokreślony gest, a drżący głos mówi: „Ależ nie, nie księcia Bawarii, lecz księcia bawarskiego. A to zupełnie co innego. Max poślubił w 1828 roku Ludwikę, najmłodszą córkę króla Bawarii i Karoliny, księżniczki Badeńskiej. Elżbieta była czwartym dzieckiem księcia i została małżonką Franciszka Józefa w 1854 roku".

Po czym następuje znowu bezładna rozmowa. Umysł Karoliny okrywa mgła, w której żyje jakby oddzielona od swej własnej osobistości, nie identyfikując siebie z tą istotą, jaką jest teraz i mówiąc o sobie tylko w trzeciej osobie. „Postarzała się i wierzy w szaleństwo. Wszystko skończone. Maksymilian jest w sali tronowej. Wszystkiemu winni Napoleon i Eugenia!"

Karolina i Eugenia! Nie widziały się już one więcej od czasu sławetnej wizyty w St. Cloud. Cesarzowa Francuzów liczy około stu lat. Gdyby syn jej żył, byłby już starym człowiekiem. Lecz nie żyje, śpi snem wiecznym w Anglii przez wszystkich zapomniany.

Jedynie Eugenia wciąż pamięta i opłakuje go; w każdą rocznicę śmierci zakupuje msze za spokój jego duszy. Dręczy ją nieustannie myśl, iż od dawna pragnie odmówić modlitwę w tym miejscu, gdzie syn jej padł przebity lancami Zulusów. Przed oczami jej przesuwają się smutne krajobrazy Południowej Afryki. Krzyk szakali owiewa grozą tragiczne wspomnienie chwili, gdy znaleziono w pobliżu Krwawej Rzeki martwego następcę tronu Cesarstwa Francuskiego z twarzą obgryzioną przez dzikie zwierzęta.

Pewnego dnia, mała grupka ludzi, towarzysząca Eugenii w jej żałobnej pielgrzymce, rozłożyła obóz w okolicy kraalu, gdzie zginął Ludwik Napoleon. Ekspedycja zbliżała się do upragnionego celu. Zbolała matka wiedziała, iż uciążliwa podróż powinna skończyć się nazajutrz w tragicznym miejscu.

Wczesnym rankiem, o świcie następnego dnia, Eugenia opuściła obóz i odeszła automatycznym krokiem poprzez pokrytą kolczastymi zaroślami płaszczyznę. Nieprzezwyciężona siła pchała ją, oniemiałą i przerażoną, ku jakiemuś ogołoconemu z roślinności miejscu. Czuła się straszliwie przygnębiona i złamana na duchu. W powietrzu przepłynęła fala zapachu werweny. Blade słońce wydarło się zza chmur. Niewidzialne ptaki poczęły szczebiotać w zielonej gęstwinie. Sercem Eugenii wstrząsnęło nagle tajemnicze wołanie z zaświatów: „Matko, to tutaj!" Nieszczęśliwa kobieta, padłszy na kolana, poczęła się żarliwie modlić.

Zniknięcie cesarzowej z obozu wywołało niezwykłe poruszenie. Towarzyszący jej oficerowie armii angielskiej, na której ciążyła już odpowiedzialność za śmierć Ludwika Napoleona, obawiając się groźnego wypadku, wyruszyli natychmiast na poszukiwania. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy ją odnaleziono.

Zimą 1919 roku, cesarzowa Eugenia zamieszkiwała w pięknej willi „Cyrnos", którą poleciła wybudować na skalnym rumowisku w Cap Martin. Długo przesiadywała na tarasie, pogrążona w smutnych wspomnieniach. Wokół niej kwitło bujne życie. W dali, po lewej stronie, wśród palm i drzew oliwkowych wznosił się wspaniały hotel; wysokopienne sosny, gnąc się pod podmuchem wiatrów z szerokiego świata, zbiegały zielonym tłumem ku krawędzi wybrzeża. W załamaniu widniała Mentona, a dalej góry pokryte ozłoconymi słońcem drzewami, białe kresy dróg w kierunku Sospel, rozległe ogrody, połyskujące wśród szmaragdowej gęstwiny żółtymi kulami pomarańczy.

W bardzo jasne, przezroczyste poranki, można było dojrzeć zamgloną linię Korsyki, kolebkę dynastii. Zima chyliła się już ku końcowi, powietrze pachniało wiosną. Rozkwitały złociste kiście mimozy o delikatnej woni, która za powiewem wiatru łączyła się z cierpkim zapachem mgły i daleką wonią eukaliptusów.

Przez dziką roślinność przebijało się pasmo krętych ścieżek. Na nich to spotykały się często przed 35 laty dwie cesarzowe, opłakujące swych synów i w czasie długich przechadzek rozmawiały o przeszłości, o międzynarodowej wystawie, o Metternichu, lecz żadna z nich nie ośmieliła się mówić o Meksyku. Cień Maksymiliana i Karoliny unosił się między Eugenią i Elżbietą. A każda z nich dumała o straszliwym bólu, jaki zadaje śmierć syna, następcy tronu.

Jakież to wszystko dalekie! Jakże wiele wydarzeń czas wyrównuje! Elżbieta została zasztyletowana w 1891 roku, a dla upamiętnienia jej pobytu na Cap Martin wzniesiono mały pomnik, wyciosany w kamieniu, na którym wyryto naiwny czterowiersz. Eugenia, jak posępne widmo przeszłości, przystawała nieraz w tym zakątku, pogrążona w smutnych rozmyślaniach. Z czasem jednak zaledwie już rozróżniała kontury obelisku, żałobny napis znikł sprzed jej oczu. Lekarze francuscy nie chcieli się podjąć operacji prawie zupełnie oślepłej cesarzowej, co skłoniło ją do wyjazdu do Hiszpanii, gdzie zamierzała mimo wszystko poddać się zbawczemu zabiegowi chirurgicznemu. Eugenię, podobnie jak Karolinę ogarnęła ciemna noc, równie mroczna i posępna, lecz inna — wypełniona wyrzutami sumienia i spóźnionymi żalami.

(Dokończenie nastąpi.)

LUCYNA ROKOMYSKA

5)

Biały Płomień

— Zimno ci, mamo? — Zamknę okna. Luta wyciągnęła rękę w ciemną noc, która tymczasem nadeszła.

W tej chwili jasna, długa wstążka błyskawicy, przecięła niebo. Zahuczał gdzieś w dali grzmot. — Szła pierwsza, wiosenna burza.

ROZDZIAŁ XVIII.

Dwudziestopięcioletnia pani Luta Velli nie wyglądała dzisiaj absolutnie na to.

Stała w oknie wagonu pospiesznego pociągu, który za chwilę miał odejść z dworca krakowskiego, w stronę Wiednia — rozmawiając z Basią, wyższą i tęższą od niej blondynką o niezmiernie regularnych rysach twarzy i poważnym spojrzeniu.

Luta, w popielatej, jedwabnej sukience przybranej czarnymi aksamitkami, z lokami trzepocącymi się wokół jasnej od radości twarzy — była jak mała, roztrzepana dziewczynka. Za nią, z rękoma opartymi na obu bokach okna i z głową pochyloną tuż nad główką żony — stoi Andreo Velli.

— Basiu, do Szwajcarii jadę! — mówi Luta jak dziecko, które się chwali.

— Słyszałam to już sto razy Luto — od czasu, jak przyjechałam. A jestem tu dopiero drugi dzień... — śmieje się Basia.

— To nic! Pewnie jeszcze usłyszysz parę razy, nim pociąg odjedzie! Przecież to nie fraszka mój pierwszy wyjazd za granicę... — Prawda?

Luta przechyliła główkę w tył, do męża — gdzie odpowiedziano jej uśmiechem...

Ruch koło pociągu wzmaga się. — Prędkie, gorączkowe kroki, takież same spojrzenia w okna wagonów w poszukiwaniu wygodnego miejsca, głośne wskazówki i rady, słowa pożegnania — krzyżują się tu i tam.

— Uważaj Lutko na siebie — radzi poważna Basia. — Owiń się szalem w nocy; chłodny lipiec mamy tego roku!

— O, Basiu! — widzisz?! Anioł-stróż za mną... Będzie uważał!

— O! Andrzej w tej chwili wygląda raczej na orła trzymającego w szponach zdobycz...

— No, zdaje się, że ruszamy — przerywa Andrzej. — Dowidzenia, bystra i dowcipna Basiu! Kłaniaj się mamie!

Do głosu Andrzeja dołącza się głos Luty:

— Pa, Basieńko! — Ucałuj jeszcze mamę i Pitę!

Długi sznur wagonów drgnął... począł się poruszać zrazu wolno, — po tym coraz prędzej... prędzej... prędzej...

Luta z dłoni uczyniwszy trąbkę — krzyknęła jeszcze w stronę Basi, idącej wzdłuż pociągu:

— Baśka! — Do Szwajcarii jadę!!

Basia odpowiadała trzepotaniem chusteczki w wysoko podniesionej ręce...

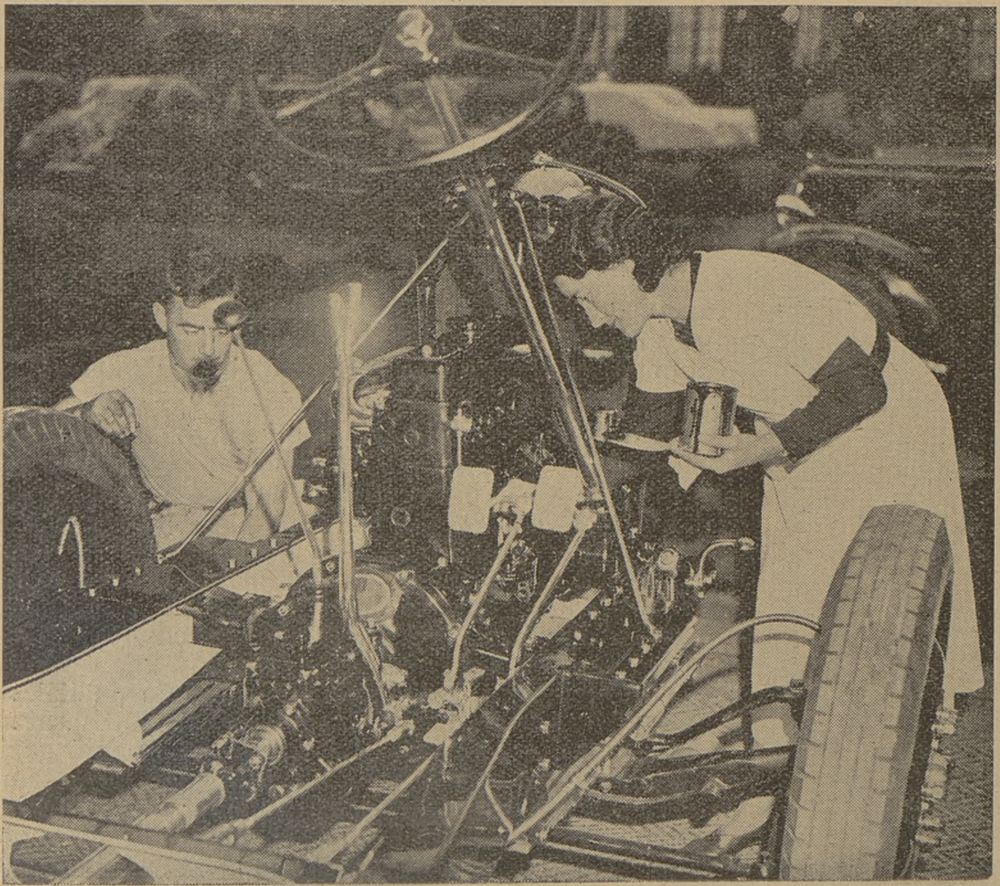
Pociąg malał... kurczył się... niknął w dali... Dworzec zachodni opustoszał.

Ku wyjściu szła powoli Basia.

— — — — — — —

Po dwugodzinnym czekaniu w Wiedniu na inny pociąg — ruszono w dalszą drogę. Około siódmej wieczorem wjechano w Alpy. Głośny wąż wagonów wił się — skręcał, wpadał w ziejące wilgocią tunele, aby wypadłszy na trochę szerszą przestrzeń, wlecieć znów w przejście tak wąskie, że góry zdawały się stykać ponad nim...

Luta biegała od okna do okna nie mogąc się napatrzyć, żałując każdego widoku.



Ostatnie przygotowania przed otwarciem wystawy samochodowej w Paryżu.

Pociąg huczał — odpowiadały tysiącznym echem góry... Góry groźne, pełne majestatu, przepiękne...

— Andrzeju... cudny jest świat... I cudne jest moje życie przy tobie... — powiedziała Luta patrząc oczami pełnymi zachwytu przed siebie.

— I cudna ty jesteś, Lutko... — odpowiedział Andrzej, całując namiętnym spojrzeniem twarz żony.

Szedł wieczór. Górom otuliły już stopy cienie. Wierzchołki pławiły się jeszcze w różowo-złotych lśnieniach zachodu. Pociąg wyglądający tu przy ciężkich masywach gór, jak mała, dziecinna zabawka, pędził dalej, to wspinał się do góry przez szczeliny umyślnie dla niego kute w skałach — to spadał w doliny porosłe skąpo trawą i rozdzwonione dzwonkami pasącego się bydła. Po górach pełzał cień coraz wyżej i wyżej, więc kryły swoje, coraz smutniejsze oblicza chustą utkaną z ostatnich promieni słońca i fioletowej mgły.

Nadchodziła noc. — Pociąg huczał.

Góry szły w tył — powoli — nie spiesząc się... wsłuchane raz w głośne, to znów zamierające w dali echa, które budziła w nich dysząca lokomotywa.

ROZDZIAŁ XIX.

W Szwajcarii zamieszkali w niewielkim, cichym miasteczku Arlesheim.

Miasteczko leżało w dolinie, z trzech stron obejmowały je lesiste góry — czwarta, jawiła oczom leżące w dali miasto: Bazyleę.

Willa, w której na drugim piętrze zajęli dwa pokoiki, obok siebie, stała w dużym, nowocześnie urządzonym parku, pełnym sztucznych, ale świetnie imitujących naturę grot — porosłych mchami i bluszczem; to altanek stworzonych z pędów pnących się różyczek umiejętnie przyciętych i poprowadzonych tam, gdzie chciano.

Tu i tam płakała fontanna na wiecznie pragnące rosy klomby kwiatowe.

Były romantyczne, wąskie ścieżynki wśród leszczynowych drzewek... I nadęte, pyszne ścieżki wysadzane bukszpanami przyciętymi w kształt kóp siana.

W środku parku stał budynek otulony dzikim winem, ze schodami biegnącymi wokoło, mający wewnątrz tylko jedną olbrzymią salę z miękkimi kanapkami naokoło ścian — i dużym, koncertowym fortepianem w rogu. — Tu, w dni deszczowe zbierali się prawie wszyscy goście, zamieszkujący pensjonat, na pogawędki, czytanie, lub posłuchanie muzyki.

Gości w willi było niewiele:

Jakieś straszne małżeństwo; ona jeszcze teraz piękna i on wysoki, prosty, chodzący krokiem żołnierza. — Troszczyło się ciągle jedno o drugie i zawsze mieli co z sobą mówić.

Tych Luta lubiła bardzo. Przy spotkaniu, wcześniej nim Andrzej i ona zdążyli się ukłonić — uśmiechali się do nich życzliwie, prawie serdecznie, jakby błogosławiąc młodości i kochaniu...

Po tym: żona jakiegoś niemieckiego doktora z córeczką; ta — nie widziała nic i nikogo prócz siebie i swojej, jak laleczka ustrojonej, córeczki.

I jeszcze jedna pani ze starszych osób: siwa, sucha jak trzaska i zła jak nieszczęście — do wszystkiego się wtrącała, nic jej nie potrafiło zadowolić, najbardziej we-

soły nastrój zepsuła w jednej chwili, złym jak żądło osy — słowem...

Młodych było więcej:

Kilka Szwajcarek — zawsze wesołych — tworzących między sobą zwarte kółko. — Jedna wścibska Czeszka — molestująca ciągle, co którą muzykalniejszą osobę aby co zaśpiewała... „lebo" co zagrała... — Coś „takoweho smutneho..."

Jakaś kulejąca na jedną nogę panna o przemiłym spojrzeniu szarych oczu — grająca prześlicznie na cytrze.

I jeden Francuz ogromnie pewny siebie, ubrany zawsze bez zarzutu, z przylizanymi gładko, czarnymi włosami i białą, jakby pudrowaną twarzą.

Tego Luta nie lubiła tylko dlatego, że... był ziomkiem Napoleona...

O! Do dziś dnia pamięta, jak płakała nad polskimi żołnierzami rzucanymi wolą pysznego, jak sam diabeł, człowieka, — w ogniem ziejący wąwóz Somo-Sierry...

I po tym jeszcze: gdy mętne, straszne fale Elstery zalewały naprożno walczącą z nimi śliczną postać rycerza bez skazy: Józefa Poniatowskiego...

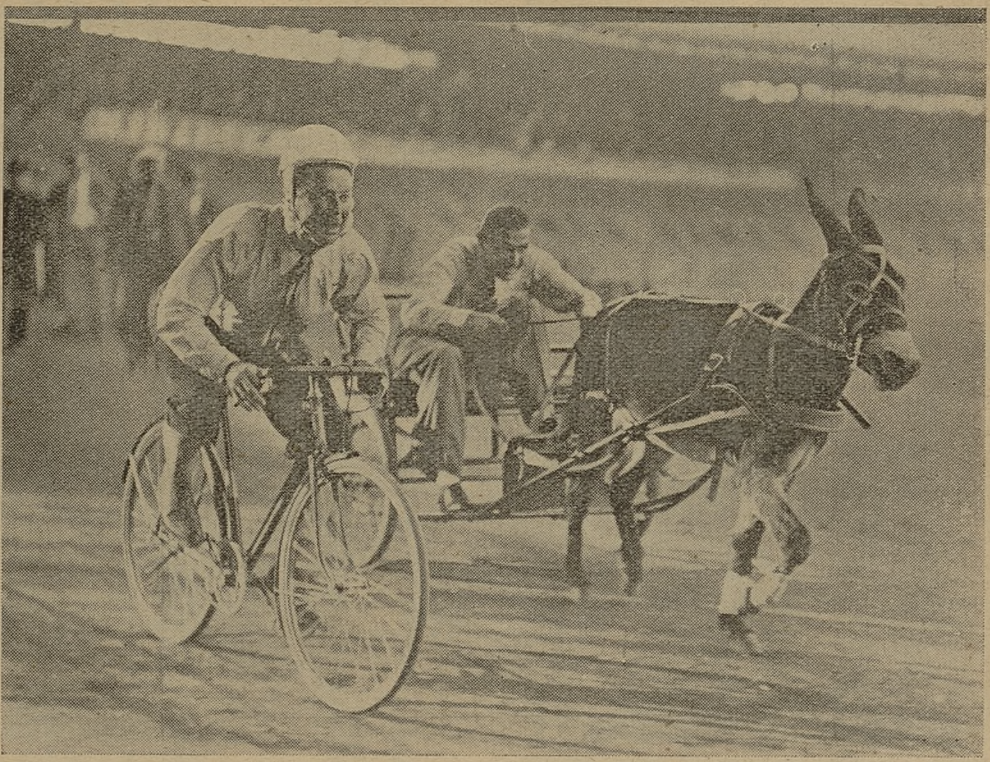
Dwunastoletnią dziewczynką była wtedy — i o mało nie pobiły się z Basią wtenczas..., bo Luta skończywszy historyczną powieść, ze łzami jeszcze nieobeschłymi na policzkach, wstała i podniósłszy dwa palce w górę — poczęła przysięgać, że... jak teraz strasznie nienawidzi Napoleona, tak go będzie nienawidzić przez całe życie! — Tak, przez całe życie! — bo... poco przyrzekał i mamił Polaków, kiedy wiedział, że nie dotrzyma?!

Basia zaś — nie wiadomo z jakiego powodu — ujęła się za „bogiem wojny"... i na dobitek zaczęła twierdzić, że tak uroczyście nie przysięga się nigdy na rzeczy złe... — Można natomiast na dobre...

Luta, na odwrót: zarzuciła jej, że nie jest godną miana Polki, skoro broni Francuza, a nie żal jej wcale Polaków!...

Tego zaś absolutnie, nawet taka spokojna poważna Basia, znieść nie mogła i skoczyła do Luty z zaciśniętymi piąstkami...

I nie wiadomo co by było, gdyby je nie rozbroiła Pita... uderzeniem w ogromny płacz. Pita nie lubiła „politycznych sporów" Basi i Luty i reagowała na nie, prawie zawsze, w ten sposób.



Oryginalny wyścig oślego zaprzęgu z cyklistą skończył się fiaskiem, gdyż uparty osioł nie chciał dobiec do mety.

Francuz więc nie miał względów u pani Velli mimo gorących spojrzeń rzucanych na nią przy każdej okazji.

Zresztą... Andrzejowi i Lutce było najlepiej wówczas, gdy byli sami. Czy to na koronkowej od słońca przesianego przez liście, ścieżynce, — czy na balkonie drugiego piętra na leżakach zsuniętych bardzo blisko ku sobie — gdy wpatrzeni w fantastyczne postacie, zamki warowne i góry tworzące się z chmur, spędzali długie godziny... Czy też późną porą w wielkiej, ciemnej sali z kanapkami rozsiadłymi wokół ścian, gdy Andrzej grał tylko dla niej...

Siadała cichutko na najbliższej kanapce i wpatrzona w piękny profil męża rysujący się ostro na tle jaśniejszego od ścian okna, słuchała — słuchała.

Płynęły chwile — — —

A po nich brał ją na ręce i przytuliwszy usta do ciemno-blond loków, niósł przez park pełny tajemniczych szmerów, do pokoju na górze...

ROZDZIAŁ XX.

— Luto, może pojedziemy jutro gdzieś w góry? Nigdzie dalej jeszcze nie byliśmy! — Może do tych ruin tam w górze? Z tej baszty, górującej nad drzewami — musi być wspaniały widok! — mówił Andrzej wskazując ręką na resztki rycerskiego zameczku wbite jasną plamą w czerń leśistej góry.

— Dobrze drogi, — ucieszyła się Luta. — Ale jedźmy dopiero pod wieczór. Bo wiesz, jutro tu obchodzą „święto gór". Mówiła Fräunlein Hedwig, że do późna w noc palą ognie sztuczne po górach i że to niezapomniany widok!

— Więc nigdzie dzisiaj nie pójdziemy — maleńka Luto? — ściągnął ją z poręczy koszykowego fotela, gdzie dotąd siedziała — na swoje kolana.

— Do kościoła — wielki Andreo! — Zapomniałeś, że dzisiaj niedziela? — Czekaj, zaraz się tu rozśpiewają dzwony! Zaraz nas zaczną wołać! O, tak: najpierw zacznie najmniejszy — cienkim, srebrnym głosikiem i będzie wołał tak długo, dopóki nie przyłączy się do niego drugi, trochę większy; za chwilę trzeci, jeszcze większy... i jeszcze większy... i po tym ostatni — największy... aż popłynie z wieży cały koncert — hen — daleko — na wszystkie wokoło wzgórza — i ku mgłami odzianej Bazylei — Bim — ba-am — bim ba-am — bim — ba-am —

Poczęła w takt słów kołysać główką na obie strony i uśmiechać się pełnymi złotych iskierek oczami, do gorących oczu męża...

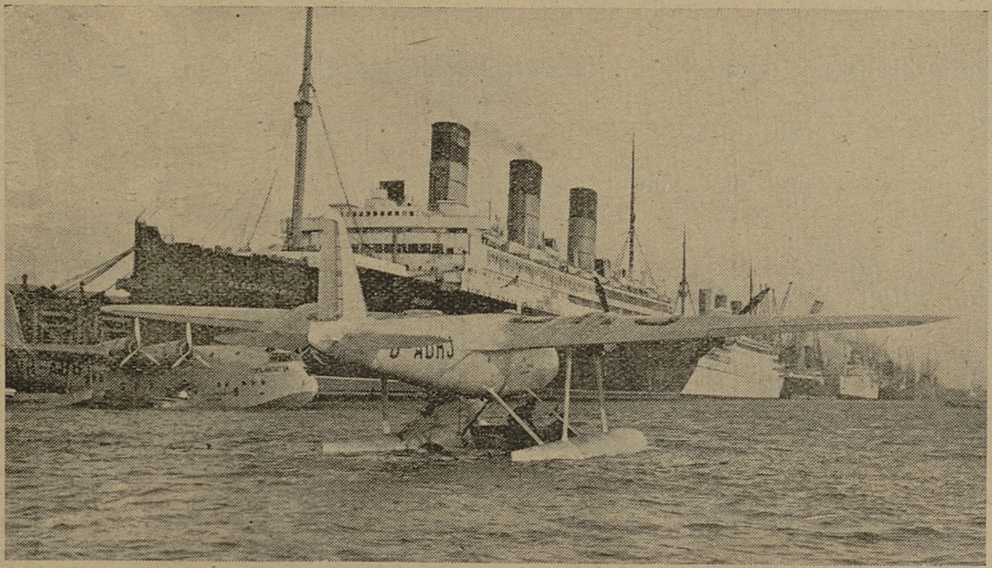
— Śliczna jesteś — Luto!...

— A ty, złoty...

— — — — — — —

— Wolałabym jechać końmi. — Te auta, znaczone szwajcarskim krzyżem, robią na mnie wrażenie naszych „karetek pogotowia".

— Trudno, Luto. — Tu koni nie dostaniemy.



Do Southampton w Anglii wrócił, widoczny na zdjęciu, hydroplan „Mercury", po dokonaniu rekordowego przelotu z Anglii południowej do Afryki.



W muzeum Palais de Chaillot w Paryżu otworzono bar i herbaciarnię dla wygody zwiedzających. Inowacja ta znalazła pełne uznanie publiczności.

— Wiem.

Podeszła do pięknej, świecącej limuzyny, postawiła nogę na stopniu, — ale zaraz cofnęła ją z powrotem. — Na twarzy odmalowało się dziwne wahanie.

— Więc nie jedźmy, Luto — odezwał się Andrzej.

— Nie — naprawdę niemądra jestem! — Właśnie, że jedźmy! Weszła prędko do środka. Andrzej za nią.

Auto poczęło sunąć cicho, jak duch bez warkotu motoru, bez wstrząsów — po gładkiej niby stół — drodze.

Mignął ostatni dom miasteczka Arlesheim i auto zwolniło biegu. Droga wznosiła się coraz wyżej i wyżej. Piękne, wysokie drzewa liściaste splotły swe ręce-konary ponad nią tworząc miły, zielonawy półcień. Dołem zbita, zielona gęstwa paproci, bluszczów i powoi — czepiała się żelaznej bariery, która szła po bokach drogi.

Ruiny zameczku były jeszcze dość dobrze zachowane. Miały wcale dobrze prezentującą się bramę wjazdową z żelaznych, przedziwnie poskręcanych sztab. Parę sal ze zbrojami w niszach poustawianymi i chrzęszczącymi za każdym powiewem wiatru... i stosunkowo najlepiej zachowaną kaplicę z ramionami wielkiego, czarnego krzyża, rozpiętymi na jednej ze ścian.

Słońce już dawno zaszło.

Na basztę wybierało się towarzystwo składające się z kilku osób i Andrzej z Lutą.

Po drewnianych, prawie zmurszałych schodach z sznurami po bokach zamiast poręczy — szedł najpierw ze światłem w wysoko podniesionej ręce — stróż pilnujący ruin, a za nim wszyscy.

Luta śmiała się, żartowała, nie pamiętała już wcale o dziwnym wrażeniu przy aucie...

Przy wyjściu na ganeczek okrągłej baszty, biegnący naokoło, tuż u samego szczytu — różne: och! i ach! — wybiegły z wszystkich piersi. — Bowiem, jak okiem sięgnąć — płonęły okoliczne góry od różnokolorowych ogni sztucznych, wyrzucanych co moment w powietrze, to długim syczącym wężem świetlnym... to wielką, ognistą kulą pękającą wysoko i rozsypującą na lesiste góry coraz to inne, kolorowe gwiazdy...

Stali długą chwilę chłonąc oczami, rzeczywiście niezapomniany, widok!

— — — — — —

Piękna, świecąca limuzyna wracała.

Luta przytulona do boku męża, mówiła rozmarzonym i jakby trochę sennym głosem:

— Takam bezgranicznie szczęśliwa, Andrzeju... To już chyba szczyt szczęścia...

— Cicho, kochanie... Połóż tu główkę na moich piersiach — o, tak. I staraj się usnąć. Już późno.

— Dobrze. Dziękuję ci, drogi...

Auto pędziło z góry.

Otulone cieniami nocy przydrożne krzewy, budziły się zdziwione jasną smugą światła przelatującego po nich, po czym zapadały na powrót w sen czarniejszy jeszcze, niż przed tym...

W aucie, drobna, mała kobieta — usnęła spokojnie w ramionach męża nie wiedząc, że gdzieś na jednym z zakrętów, przytulone do żelaznej bariery, zaczaiło się nieszczęście...

Jeszcze kilkadziesiąt obrotów kół... jeszcze kilkanaście... jeszcze kilka...

Nieszczęście wyciąga ręce-szpony — i nagle...

Pęka opona w przednim kole i auto uderza z straszną siłą w żelazną poręcz... Motor staje w ogniu...

ROZDZIAŁ XXI.

— Jak się to okropnie stało, panie doktorze — że ja i szofer wyszliśmy cało, a właśnie ona...

— Tak, przerwał doktór — ciężkie oparzenie na prawej połowie twarzy. Oko, na szczęście, pozostało całe.

— Czy mógłbym ją dzisiaj zobaczyć, doktorze?

— Z przykrością muszę odmówić. Obawiamy się ciągle wstrząsu nerwowego. — No, serdecznie panu współczuję, i żegnam. Obowiązek mnie woła — pożegnał się uprzejmie główny lekarz kliniki bazylejskiej.

Po białych, szerokich schodach — szedł z powrotem Andreo Velli.

— — — — — —

— Siostro — jestem chora; wiem. — Ale co mi się stało? Mam stłuczoną głowę — prawda?

— Tak. Ale to przejdzie. — Proszę, niech się pani nie męczy mówieniem.

Pielęgniarka pochyliła się nad łóżkiem, poprawiając delikatnie poduszki.

— Nie męczy mię to — zaczęła znowu Luta. — Siostro, a... czy przychodzi tu mój mąż? — zawisła pełnym lęku spojrzeniem na ustach pielęgniarki. — Nie chciała pytać, czy żyje... Wolała tak...

— Przychodzi codziennie.. Myślę, że dzisiej może się już pani z mężem zobaczyć!

— O, dobrze! Dziękuję siostro.

— — — — — —

Przychodził nadal codziennie — całował bledziutkie ręce leżące na kołdrze, kładąc na nie kwiaty, które tuliła do obandażowanej twarzy — i było jeszcze dobrze, aż do czasu, gdy po zdjęciu bandaży zobaczyła wielką, przez całe pół twarzy idącą, bliznę...

Czekała w ten dzień ze strasznym lękiem w duszy — przyjścia Andrzeja.

Gdy wszedł — nie podniosła oczu: czekała, czy tak, jak zwykle — podejdzie szybkim krokiem ku oknu, przy którym siedziała...

Nie podszedł.

Stoi tam przy drzwiach i patrzy na nią...

O, Boże... jaka ta chwila jest okropnie długa... Przemówi chyba pierwsza?... Nie potrafi tak dłużej siedzieć pod jego wzrokiem...

Luta podnosi bezradne oczy... oczy zgonionej sarny — i napotkawszy wzrok Andrzeja, zasłania biedną twarz rękami szybkim, rozpaczliwym ruchem.

Andrzej jest w tej chwili przy niej. Ukląkł i przyciskając ją delikatnie do siebie — mówi dobre, tkliwe słowa:

— Luto, popatrz na mnie. Kocham cię tak samo, jak zawsze! No, zdejm ręce z twarzy — jeszcze sobie zaszkodzisz!... No, Luto...

— Nie mogę, Andrzeju — I bądź dobry — odejdź teraz... szepce Luta, nie odejmując rąk od twarzy.

— Gniewasz się, Lutko?

— O nie, — głos jest jeszcze cichszy — ale chciałabym być sama... Jutro przyjdziesz...

Za chwilę jest sama.

Jest sama, ale nie jest jej wcale lepiej. Widzi ciągle oczy Andrzeja patrzące na nią — tam — od drzwi... Oczy, w których nie było ani odrobiny uczucia — ani nawet odrobiny litości, tylko przerażenie... i...

Tak. Niestety — było to spojrzenie człowieka patrzącego na coś brzydkiego...

Luta nie płacze — tylko ze strasznym, bolesnym jękiem zasłania znów twarz rękami... Chciałaby się gdzieś ukryć... zniknąć — nim Andrzej znów tu przyjdzie.

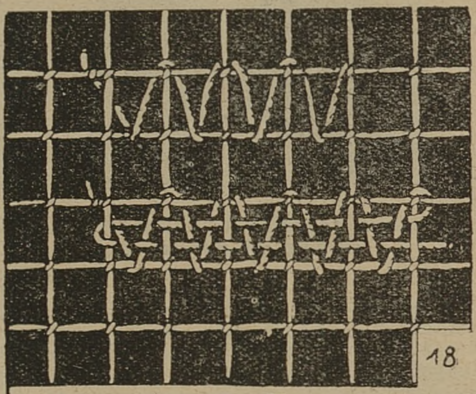
— Bo to nieprawda — mówi do siebie bolesnym, rwącym się głosem — co Andrzej powiedział... że kocha mnie tak samo... Nieprawda. — On nie potrafi mię takiej kochać...

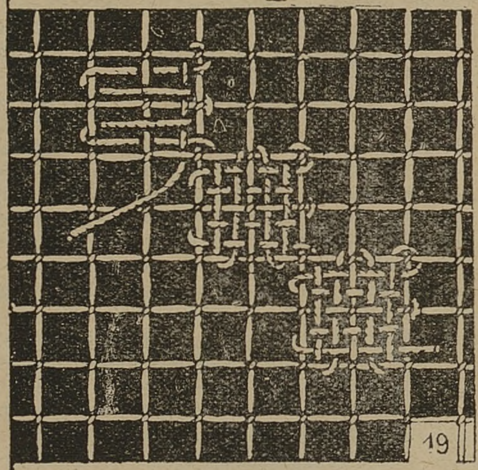
(Ciąg dalszy w następnym numerze)

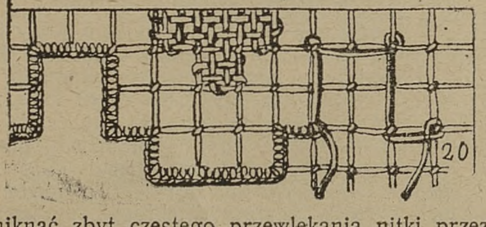
RAJ KOBIET

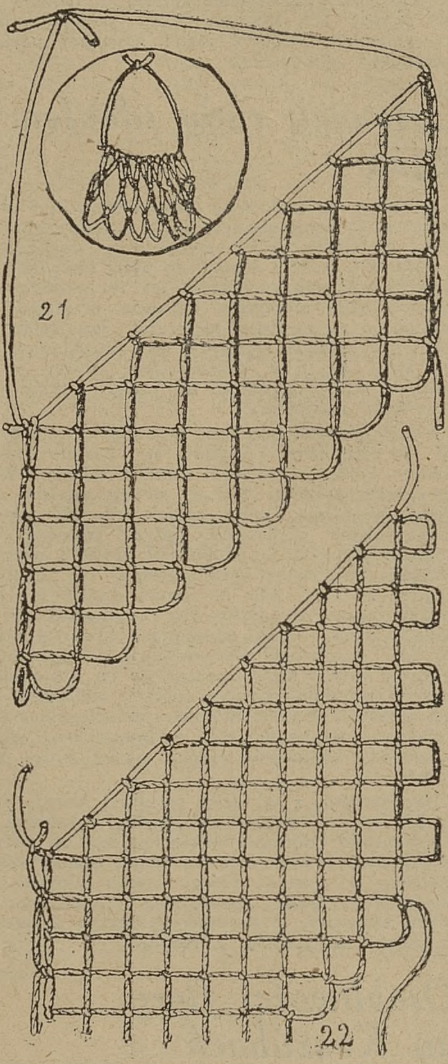
Kurs robót siatkowych

W niniejszej części kursu podajemy ścieg rzadkiego cerowania, służący do uzyskania efektów prawie ażurowych. Na rycinie 18 uwidoczniony jest najprostszy sposób wykonania. Bardziej skomplikowane jest zastosowanie ściegu do różnych figur, gdyż należy zawsze wpierw obmyśleć wzgl. wypróbować sposób przechodzenia od jednej figury do drugiej, by



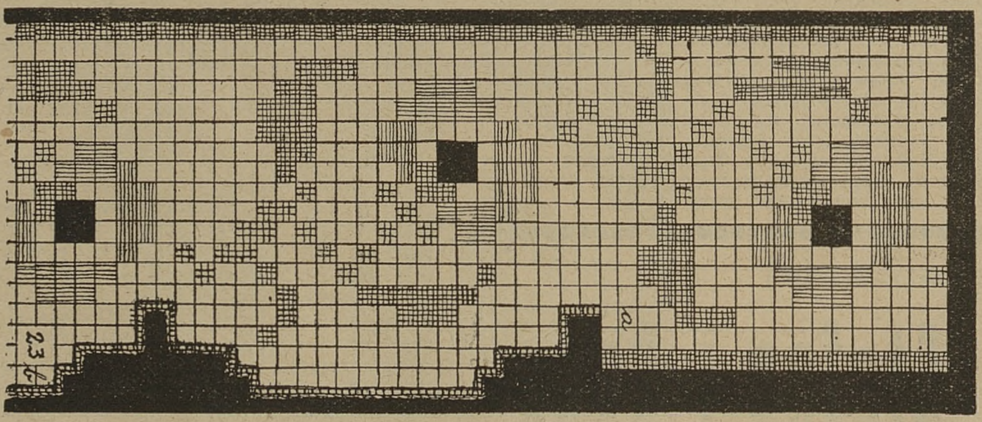






uniknąć zbyt częstego przewlekania nitki przez już wykonane cerowanie.

Rycina 19 uwidacznia czyste cerowanie. Dla wyraźnego pokazania sposobu nie przywiązano końca nitki, ob. ryc. 19 u dołu, widać więc,



gdzie rozpoczęto przewlekanie nitki, u góry zaś widzimy dalsze siatki.

Nasz kurs byłby niezupełny, gdybyśmy nie podali jeszcze jednego sposobu wiązania prostokątów, stosowanego zwłaszcza przy robieniu koronek. Jak widać na ryc. 21 a, nie zaczynamy tak jak kwadrat, tylko wiążemy od razu tyle oczek, ile nam trzeba na szerokość siatki, dodając jedno ponadto. Dalej postępuje się jak przy wiązaniu prostokątu zaczętego jak kwadrat, tj. dodajemy z jednej strony, a z drugiej zbieramy po dwa oczka przy końcu. Po wyprostowaniu siatka wygląda jak na ryc. 21. Zbyteczne oczka odcina się, toteż należy o tym pamiętać przy wymierzeniu długości.

Chcąc zastosować siatkę do koronki, możemy brzeg wykonać w ten sposób, że oczka pozostają luźne t. zn.., że z jednego boku opuszcza się ostatnie oczko, z drugiego zaś dodaje się jak zwykle, robiąc dwa węzełki w ostatnie oczko, ob. ryc. 22.

Sposób zakończenia brzegu koronki podany na ryc. 20. Dla umocnienia podwlekamy nitkę w sposób widoczny na rycinie, poczem obrzucamy brzegi ściegiem chwytanym.

Mając wzór na wstawkę możemy go łatwo zastosować również do koronki i na odwrót, co widoczne jest na rycinie 23.

Brzegi wstawki zdobimy prostym cerowaniem ryc. 23 a, jeden brzeg koronki zaś obrzucamy w zęby, ryc. 23 b.

Na wzorze tym zastosowano cztery sposoby cerowania, najrzadszy, pokazany na ryc. 18 i 19, gęściejszy, t. zw. płócienne, rzadkie cerowanie w jednym kierunku użyte pionowo i poziomu do wykonania listków oraz takież cerowanie, ale bardzo gęste, do wypełnienia środków kwiatów.

K. Kulczycka.

HIGIENA i *zdrowie*

Mleko

Mleko zawiera wszystkie składniki potrzebne dla organizmu ludzkiego i **ma tę zaletę, że jest łatwo strawne.** Jest jednym z najważniejszych środków spożywczych, już choćby dlatego, że w pierwszych chwilach życia człowieka stanowi jedyny pokarm.

Wprawdzie mleko zawiera tylko 3,5 proc. białka, 3 i pół proc. tłuszczu i 4 proc. węglowodanów i na pozór wydaje się mało pożywne, ale można je spożyć w większych ilościach nawet do dwóch litrów dziennie, a to już może choremu zastąpić każdy inny pokarm.

Gdy przy dłuższym piciu mleko przestaje smakować, można polepszyć jego smak przez dodanie odrobiny koniaku, kawy, lub najlepiej kakao. Jeśli ktoś nie chce pić mleka z powodu większej ilości tłuszczu, może pić maślankę, ponieważ zawiera ona te same ilości białka i cukru, a tylko jeden procent tłuszczu, gdyż reszta została użyta na wyrób masła. Działa ona lekko przeczyszczająco.

Bardzo zdrowe jest także mleko kwaśne. Chcąc zmniejszyć zawartość cukru w mleku, dodaje się nieco kefiru i wtedy po 24—36 godzin fermentuje i powstaje t. zw. kefir, bardzo smaczny i orzeźwiający napój.

Mimo tych wszystkich zalet może mleko zawierać nieraz zarazki gruźlicy, które mogą pochodzić albo bezpośrednio od chorych krów, lub od mleczarzy, czy dziewczyn dojących krowy. **Należy więc zawsze mleko zagotować przed użyciem.**

Pewną wyższość nad mlekiem krowim ma mleko kozie, gdyż można je spożywać w stanie surowym bez obawy zarażenia, gdyż kozy tylko w wyjątkowych wypadkach chorują na gruźlicę. Zawiera ono dużo tłuszczu i białka. Dla użytku dzieci lepiej je jednak przegotować.

ZE ŚWIATA

Dowcipna propaganda reklamy

W czasie gdy Mark Twain był jeszcze redaktorem i wydawcą małego dziennika w U. S. A., który wydawał pod tytułem „Sztandar Zachodu", otrzymał on żartobliwy list od jednego ze starych abonentów, właściciela sklepu. W liście swym zapytywał on Twaina, czy to dobry znak znaleźć dobrze odżywionego pająka w numerze pisma.

W następnym numerze dziennika Twain zamieścił odpowiedź następującej treści:

„Staremu abonentowi: Znalezienie pająka w numerze naszego pisma ma dla pana szczególnie dobre znaczenie. Pan zamieszcza w naszym piśmie ogłoszenia, pająk zaś jest niejako członkiem naszego działu ogłoszeń. Od czasu do czasu opuszcza on lokal wydawnictwa, obchodzi sklepy, a następnie wynajduje jeden sklep niereklamujący się w naszym piśmie, zakłada na jego drzwiach wejściowych siatkę i tam przebywa spokojnie tak długo, dopóki kupiec nie zacznie się w naszym piśmie ogłaszać. Wtedy oczywiście szuka on innego sklepu, dalszy bowiem jego pobyt przed drzwiami ogłaszającego się u nas sklepu, jest niemożliwy."

ŚWIAT i ŻYCIE

Dzieje igły

Igła jest tak związana z pracą kobiecą, iż można by przypuszczać, że pojawiła się na świecie wraz z pierwszą kobietą. W jej dzisiejszej jednak postaci zna ją ludzkość dopiero od pięciu wieków. Stalowa zgrabna igiełka ma liczne poprzedniczki, o wiele mniej dogodne i praktyczne. Póki ludzie zadawalniali się okryciem z liści, spajali je igłami

z sosen i jodeł. O szyciu nie mieli jeszcze wówczas pojęcia. Gdy zaczęli okrywać się skórami i stawiać namioty ze skór, do zszywania ich służyły im ostre igły z kolców drzewnych. Stopniowo igły te zastąpiono igłami zwierzęcymi z rogu, z kolców jeżowców lub z ości ryb. Z czasem pojawiły się igły z brązu, miedzi, srebra i innych metali, z kształtu bardzo niepodobne do dzisiejszej igły. Były duże, grube, ucho zastępował mały haczyk na końcu, przez który przeciągano nić. Igła w nowej znanej nam obecnie postaci, pojawiła się dopiero w XIV w., w Norymberdze. Jej wynalazcą był kowal niemiecki, Rudolf, który przez 40 lat, od r. 1360 — 1400, trudził się nad wykonaniem igły z metalowego drutu, nadając jej ostatecznie do dziś trwającą postać z ostrym szpicem i uszkiem. Igły Rudolfa od razu zaczęły wypierać swoje niezgrabne i małopraktyczne poprzedniczki. Z początku jednak, ze względu na uciążliwą i kosztowną fabrykację, były tak drogie, że można je było znaleźć tylko na toaletach bogatych pań, a były na ówczas tak cenione, że król francuski Ludwik XI dał swojej córce w wianie ślubnym skarbonkę z igłami do szycia. Dopiero w połowie XVIII w., kiedy Anglia zaczęła wyrabiać w dużych ilościach igły stalowe, to najprostsze narzędzie do szycia zaczęło tanieć, a w XIX w. fabrykacja igieł rozpowszechniła się we wszystkich krajach.

Zgon prof. Aleksandra Michałowskiego

W Warszawie zmarł, przeżywszy lat 87, Aleksander Michałowski, znakomity pianista.

Aleksander Michałowski urodził się w r. 1851 w Kamieńcu Podolskim. Studia muzyczne odbywał w Lipsku u Moschelesa i Cocciusa i w Berlinie u Tausiga oraz we Lwowie, gdzie zbliżył się najbardziej do źródła tradycji chopinowskiej, studiując u Karola Mikulego, ucznia Chopina.

Koncertuje od roku 1869 naprzód w Niemczech — w Lipsku, Dreźnie i Berlinie, potem przez lat blisko 60 niemal wyłącznie w kraju. Wcześnie też zaczyna pracę pedagogiczną. W roku 1891 obejmuje wyższą klasę fortepianu w Konserwatorium Muzycznym w Warszawie, a w r. 1918 profesurę w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Wykształcił muzycznie duży zastęp uczniów, wywierając olbrzymi wpływ na kształtowanie się stylu chopinowskiego wśród młodej generacji pianistów.

Był też autorem szeregu utworów fortepianowych (polonezy, nokturny, kołysanki, mazurki, walce, romanse, preludia, gawoty, menuety), opracował komplet dzieł Chopina, wydał studia przygotowawcze do utworów Chopina, 3-głosowe inwencje Bacha, Gradus ad Parnassum Clementiego, „Perpetuum mobile" Webera i inne.

W r. 1929 Aleksander Michałowski obchodził jubileusz 60-lecia pracy artystycznej i pedagogicznej, w r. 1934 jubileusz 65-lecia pracy.

Odznaczony był komandorią orderu Polonia Restituta i złotym krzyżem zasługi.

Ze śmiercią ś. p. Aleksandra Michałowskiego ubywa jeden z największych polskich pianistów i jeden z najświetniejszych przedstawicieli tradycji chopinowskiej.

Grę artysty cechował dyskretny i szlachetny liryzm bez wszelkiej przesady emocjonalnej, technikę jego zaś cechował niezwykły spokój i równowaga.

Najboleśniej odczuje śmierć wielkiego artysty Warszawa, szczególną czcią otaczająca sędziwego artystę, który przez cały swój długi żywot niemal nie opuszczał miasta.

Doroczne publiczne koncerty Michałowskiego stały się w latach ostatnich świętem muzycznym, gromadzącym tłumy wielbicieli jego talentu.

Dania rajem starców

Krajem szczęśliwej starości można nazwać Danię, w której żaden mieszkaniec nie może umrzeć z głodu ani pozostać bez pomocy, jeśli jest ofiarą bezrobocia lub choroby.

Już w r. 1849 ustawodawcy duńscy zaczęli się zajmować losem starców. Od tego czasu co kilka lat uchwalano rozmaite nowe ustawy, coraz humanitarniejsze

Obecnie każdy Duńczyk, który skończył 65 lat, jeżeli nie ma dochodów otrzymuje emeryturę państwową.

Ponadto dla tych emerytów i emerytek — kobiety traktuje się tu tak samo jak mężczyzn — wybudowano wiele hoteli, w których lokatorzy dostają nie tylko mieszkanie i wikt, ale również odzież, obuwie i trochę pieniędzy na drobne wydatki. Oprócz tego dyrekcja hotelu dba o to, by im nie brakło rozrywek Te hotele wcale nie mają charakteru koszarowych przytułków, odznaczają się nawet prawdziwym komfortem.

Obecnie Dania liczy 100 tysięcy takich emerytów, z których bardzo wielu mieszka we wspomnianych hotelach.

Ludzie chorzy lub niezdolni do pracy dostają emeryturę już po dojściu do 60 lat.

Wysokość emerytury zależy od miejsca pobytu emeryta.

W Kopenhadze najwyższa emerytura wynosi 1720 koron rocznie, na prowincji, gdzie wszystko jest tańsze, nie przekracza 1185 koron. Z tego rząd płaci 7/12, resztę zaś daje gmina.

Warto dodać, że Duńczycy odznaczają się długowiecznością, w tym szczęśliwym kraju spotyka się wiele 80-letnich staruszków i staruszek, zupełnie czerstwych i krzepkich.

Parlament duński nie przestaje dbać o potrzeby wiekowych obywateli. Ustawa o rentach dla starców jest ciągle zmieniana i poprawiana. Wszystkie poprawki parlament uchwala ogromną większością.

Skąd państwo bierze pieniądze na te renty? Każdy pracujący Duńczyk płaci 10 proc. zarobku na fundusz emerytalny, tak, że renta, którą potem dostaje, wcale nie jest jałmużną.

Ubezpieczenie emerytalne istnieje ni tylko w Danii ale nigdzie nie stoi na takim poziomie, nigdzie obywatele nie mogą z takim spokojem patrzeć w przyszłość.

Człowiek rudy ideałem męża

Jeden z holenderskich psychologów po długich studiach, przeprowadzanych nad zagadnieniem zawierania małżeństw i ich szczęśliwego względnie nieszczęśliwego pożycia doszedł do wielu ciekawych wniosków. Między innymi twierdzi on, że ludzie o rudych włosach mają szczególne szczęście w pożyciu małżeńskim i to zarówno mężczyźni, jak kobiety. Na wielu przykładach stwierdził on, że zwłaszcza rudzi mężczyźni są tymi szczęśliwcami, którzy w małżeńskim stanie doskonale się czują, a żony ich są wzorowymi małżonkami.

Niezależnie od twierdzeń uczonego psychologa, bo już 50 lat temu, powstało w Paryżu zrzeszenie kobiet, które było tego samego zdania. Właśnie tego roku obchodzi 70-lecie swoich urodzin założycielka zrzeszenia, które istnieje do tej pory pod nazwą „Klub wielbicielek rudych mężczyzn". Warunkiem przyjęcia do klubu jest złożenie przez kandydatkę uroczystego przyrzeczenia, że nigdy nie wyjdzie za mąż, jeśli na swojej drodze nie spotka rudego mężczyzny, który by reflektował na małżeńskie okowy. Życie wewnętrzne klubu przedstawia się dość oryginalnie. By umożliwić członkiniom „wyszukanie" rudego męża, zaprasza się na urządzane dwa razy w tygodniu przyjęcia rudych mężczyzn. Widok jest ciekawy, bowiem różnowłosym członkiniom klubu towarzyszą wyłącznie rudzi wybrańcy losu. W apartamentach klubowych pełnią służbę rudzi kamerdynerzy.

Najciekawsze z tej całej osobliwej historii jest to, że jak zapewnia sędziwa założycielka i prezeska klubu — wszystkie członkinie wyszły za mąż za rudych... oprócz niej, bowiem ona nie mogła znaleźć odpowiadającego jej gustowi rudego koloru włosów. Przedstawicielkom prasy oświadczyła w dalszym ciągu swych wynurzeń, że wszystkie członkinie są szczęśliwe w pożyciu małżeńskim z rudymi.

Osobliwości flory na Kaszubach

Na wybrzeżu polskim, jak również na całych Kaszubach spotyka się wiele ciekawych okazów przyrodniczych, bądź zupełnie nieistniejących w głębi kraju, bądź bardzo rzadko spotykanych. Niektóre zabytki są chronione, inne jednak wymierają, jak np. słynne drzewo mamutowe w Helu, którego jedyny dobrze zachowany egzemplarz nad polskim morzem zachował się w Kłaninie, pow. morski. Zabytkiem epoki lodowcowej na wybrzeżu polskim są spotykane w powiecie morskim brzozy karłowate (betula humilis), brzoza małolistna (betula nana) i wierzba mirtowa (salix myrtilloides). — Wzmianki godny jest rezerwat bukowy w lasach kartuskich, gdzie buki, tak jak i na przylądku Rozewskim sięgają 35 metrowej wysokości.

Na brzegu morskim osobliwość stanowi mikołajek nadmorski (eryngium maritimum), a na stokach Jastrzębiej Góry, Jasnego Wybrzeża, Rozewia i Chłapowa, porastający gęsto rokitnik (Hoppophäe rhamnoides) ozdobiony w jesieni pomarańczowymi gronami owoców. Słynną jest również słona łąka pod Wielką Wsią - Hallerowem, poza tym wielkie torfowisko wyżynne Bielawy, tworzące wspaniałe wrzosowisko z Erica Tetralix i Mylica Galle. Koło Pucka rośnie paklon (Feldahorn), koło Radłowa pod Gdynią jarząb szwedzki, sosny guzowate oraz dwunożne buki pod Rekowem niedaleko Pucka. Z odmian sosnowych na uwagę zasługują sosna łuskowa, świerk wężowy oraz krótkoiglasta sosna.

KRYSTYNA ANNA

Stefan i Anna

(Dokończenie)

— Wykluczone. Przez trzy godziny oszaleć można! (Nigdy nie lubiła czekać). — Ostrym i nieco zachrypniętym głosem odezwała się do szofera: — Romek! Jedziemy do Łunińca. Może sam złapię jakiś pociąg.

— Dobrze, proszę jaśnie panienki. Jechać możemy, ale pociągu to chyba nie będzie. Może lepiej ja zapytam się tutaj? —

— Nie trzeba. Będziemy jechać wolniej, a resztę czasu pochodzę po Łunińcu, bo go nie znam. No, jazda! —

Nie chciała już prowadzić. Była zmęczona, śpiąca i nerwy dłużej nie mogły być w takim napięciu. Musiała je odprężyć — może zaśnie?... Nie mogła. Myśli wirowały w głowie, przesuwały się najokropniejsze obrazy śmierci Stefana, to znów tłumaczenie, że to urojenie, że histeria i że w ogóle po co ona jedzie tak nagle?...

Zaczęła żałować tego listu, bo nareszcie teraz zrozumiała, że podyktowała go jej jakaś próżność i ambicyjka — zupełnie niepotrzebnie. — Cóż na to poradzi, że jest taka bezpośrednia i nie zastanawia się długo nad niczym.

Naraz poczuła ogromną potrzebę płaczu. Postawiła kołnierz futra i cichutko, żeby nikt nie słyszał, jęła popłakiwać. Znużona i zapłakana po chwili zaczęła drzemać...

A tymczasem w domu, w pokoju Anny leżała na stole otwarta przez matkę depesza z Wilna.

Obudziła się nagle, zupełnie wypoczęta i na pozór uspokojona. Spojrzała przez szybę: byli już widocznie w Łunińcu, bo auto stało między innymi, przed dużym budynkiem, prawdopodobnie stacyjnym. Ktoś okrył nogi Anny pledem. Uśmiechnęła się: — To chyba Romek... — Widziała, że chłopak podkochiwał się w niej, może nawet kochał... Podobała się Annie ta miłość i... on też — przyznawała się do tego. Odnajdywała w nim duże podobieństwo do Stefana — może dlatego tak się jej podobał?... Dziwny chłopak... podobno z dobrej rodziny i nawet był na uniwersytecie, a jest szoferem i najważniejsze: nie narzekał na los... Otworzyła szerzej oczy, spojrzała. Romek siedział przy kierownicy, bokiem do niej. — Jest bardzo przystojny. Mój typ. — stwierdziła po raz któryś z rzędu.

— Romku, gdzie jesteśmy? — zapytała Anna dziwnie miękko.

— W Łunińcu, proszę jaśnie panienki. Już godzinę. Pociągu nie było, więc nie budziłem. A ten nasz ma być za pół godziny.

— No, to muszę wstawać już — zrzuciła pled i wyskoczyła z wozu. Poszła na dworzec, kupiła bilet i kazała Romanowi jechać z powotem. Za parę minut siedziała w wagonie. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, poco jedzie. Opanowały ją jakieś złe, straszne przeczucia... Pociąg jechał za wolno. Sapał, gwizdał i stawał na każdej stacji. Anna kupiła kilka pism, żeby czytając nie myśleć, ale nie wiele to pomogło. Z każdej karty, z pomiędzy kolorowych liter i obrazków patrzyły na nią tragiczne oczy Stefana... Wyszła na korytarz — myślała, że kogoś spotka. Wszyst-



Członkini angielskiego oddziału obrony przeciwlotniczej podczas ćwiczeń.

ko jedno kto — aby mówił. Zacząć rozmawiać i przestać myśleć... Ale na korytarzu nie było nikogo. Wróciła z powrotem do przedziału położyła się i próbowała zasnąć. Z wielkim trudem zmusiła się do półsnu. I znów Stefan i te oczy... Bez słowa uporczywie wpatrywał się w nią, jakby chciał ją przejrzeć do głębi, do samego dna duszy...

Nagły błysk światła obudził Annę. Za oknami było zupełnie ciemno, a w przedziale zapalono światło. Anna spojrzała na zegarek; dojeżdżali do Lidy. W Lidzie weszła jakaś pani z prześliczną, maleńką córeczką. W parę minut była w doskonałej komitywie z Anną, która we względnie dobrym nastroju dojechała do Wilna.

Było już po dziesiątej. Szaloną i niemożliwą rzeczą było jechać o tej porze do Stefana. — Co robić?... Po namyśle wzięła taksówkę i podała adres swego poprzedniego mieszkania. Wprawdzie pokój już wymówiła, ale było zapłacone za miesiąc z góry, więc miała nadzieję, że był nie wynajęty. — I nie omyliła się. Gospodyni, pani Maria nie spała i przyjęła ją z chęcią. Anna nie rozbierając się, natychmiast podeszła do telefonu i połączyła się z Domem Akademickim.

— Halo, czy zastałem pana Stefana Marewicza?... Kolega?... może być i kolega... Dobry wieczór, panie Marku... Co?!... — słuchawka wypada Annie z rąk i... pustka... przepaść...

Po chwili Anna ocknęła się. Leżała na tapczanie, a nad nią pochylała się przerażona twarz pani Marii. Wydobyła jakieś podziękowanie ze ściśniętego gardła i ciężko powlokła się do drzwi.

— Co się stało?! Gdzie pani idzie tak późno?! — już zza drzwi dobiegł Annę zaniepokojony głos pani Marii. Nie odpowiedziała.

W jaki sposób doszła do Domu Akademickiego Anna nie pamiętała, dość że stoi teraz pod dzwiami w hallu. Mówią coś do niej koledzy Stefana... — poznaje ich wszystkich, ale nie rozumie czego od niej chcą... dlaczego nie puszczają do Stefana?...

Zrozumieli widocznie mowę jej nieprzytomnych oczu, bo podszedł do niej Marek Rodwiłł, prezes korporacji, do której należał Stefan.

— Musi pani się opanować, wiem że pani to potrafi. Ze Stefanem jest źle. Gdyby miał zdrowe serce, to może udało by się go uratować, ale tak — nie ma nadziei... — powiedział.

Ktoś za Annę powiedział: — Dobrze — zaczęli wchodzić po schodach na górę. Marek musiał ją wziąć pod rękę, bo Anna była cała z drzewa. Uśmiechała się... — jakie to śmieszne uczucie... jakby ktoś wyciął z drzewa i poruszał sznurkami nogi i ręce... Drewniany pajac... pajac... pa-jac... pa— drzwi. Białe drzwi. Otwierają się cicho i wychodzi z nich ktoś wysoki... znany...

— Stefku!... — Anna wyczerpana do granic, zachwiała się i pada prosto w stęsknione ramiona Stefana...

Łzy wolno spływają po twarzy Anny i wsiąkają w jego marynarkę. Już teraz może sobie pozwolić na wszystko, nawet łzy... Jest przecież ze Stefanem!

Wchodzą do pokoju. Stefan zamyka cicho i starannie drzwi...

— Stefku, co to wszystko znaczy? Kto mi tych głupstw nagadał przez telefon?

— Myślałem, Anno, że nie kochasz naprawdę i chcesz odejść ode mnie na zawsze... Byłbym już nie żył. ale zamiast rewolweru znalazłem blankiet telegraficzny i wysłałem depeszę do ciebie — łudziłem się, że może cię zastanie.

— Depeszę?... Ja nie dostałam żadnej depeszy... — przerywa Anna.

— Napisałem, że musisz przyjechać, ale nie pisałem dlaczego. Marek i Staszek z tego skorzystali i jak zadzwoniłaś opowiedzieli ci te bajki. Ale dlaczego przyjechałaś nie wiedząc o depeszy?... —

—Miałam sen, zły sen... Słyszałam strzał i twój głos. To było koło czwartej. Wsiadłam w auto i oto jestem.

Rzeczywiście. Jeden z kolegów strzelał na wiwat o czwartej. Był trochę wstawiony. Ale wszystko głupstwo... Anuś!...

Anna czuje się nagle zamkniętą w mocnym uścisku najdroższych ramion...

— Jak mogłeś zwątpić Stefku w moją miłość?... Przecież nad nią czuwa Ona — Ostrobramska... — Więcej już Anna nie mogła nic powiedzieć...

Ktoś trzasnął drzwiami daleko... Ktoś mówił szeptem za ścianą... Wiatr silniej uderzył o szyby... Gdzieś zegar wybijał godziny... szczęścia?....

Koniec.



Emile Depré, długoletni służący Arystydesa Brianda, obchodził ostatnio ze swą żoną złote gody małżeńskie

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Lipowska Stefania — Myszków. Na pytanie Pani odpowiadamy uprzejmie, że przy nadsyłaniu rozwiązań do „Chwili zastanowienia" wystarczy nakleić na kopertę znaczek za 5 gr.

M. K. — Czortków. Nowela Pana pt. „Spowiedź" za słaba do druku. Wierszyk „Nad stawem" bezwartościowy, trochę lepszy jest ten drugi p. t. „Szara myśl", — ale też jeszcze za mało płynny — do druku nie pójdzie. Musi Pan jeszcze bardzo dużo pracować, inaczej przyszłe prace podzielą los tych, które omawiam w tej chwili. Pozdrawiam Pana serdecznie.

Henry K. — Poznań. Z noweli Pana p. t. „Z błędnej drogi" — nie skorzystamy; za słaba do druku.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KRZYŻÓWKA

uł. N. N.

1	2	3		X	7	7	8	9
2			X	12	X	8		
3		X	10		13	X	9	
	X	11				14	X	
X	12							X
4	X	13					X	17
4	5	X	14			X	15	
5		6	X		X	16		
6				X	17			

Znaczenie wyrazów: Poziomo: 1) pierwszy letnik, 2) kamienica inaczej, 3) zaimek wskazuj. (l. mn.), 4) słowo z nowej „Pszczoły ks. Dobrodzieja", 5) słynny komik filmowy, 6) imię męskie, 7) los inaczej, 8) zaimek dzierżaw. (l. pojed. wspak), 9) przyimek, 10) zabawa wytworna, 11) stworzenie żyjące na dnie oceanów, 12) broń, 13) nazwa stolicy w Europie (wspak), 14) skorupiak (wspak), 15) zaimek wskazujący, 16) rodzaj futra (fonet.), 17) ptak nocny.

Pionowo: 1) myśl, 2) zwierzę domowe, 3) inaczej posiada (wspak), 4) szkła powiększające, 5) odległość (wspak), 6) zaimek wskazujący (l. poj.), 7) wykrzyknik, 8) stan wody, 9) wiek miłości, 10) lasek, 11) kwiat (wspak), 12) zesłana, 13) praca (łac.), 14) część okrętu (wspak), 16) tak (niem), 17) uprawna ziemia.

BILETY WIZYTOWE

uł. Semeniuk Piotr

TAM AUTO

NA NA

Jakie to nazwy?

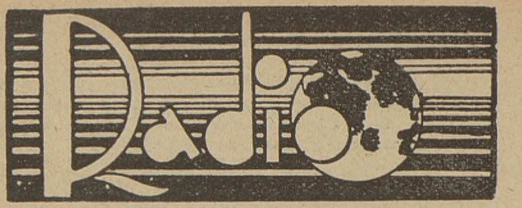
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 18 listopada br.

Rozwiązania zadań z nr. 44 „Moich Powieści:" I. Rozsypanka: 1) kanapa, 2) Natura, 3) Parada. II. Rebusiki: pomidor, zakręt, zamach, przeddzień, Polak, pokost, namiastek, nagroda, Podlasie.

Trafne rozwiązali pp.: Kobusówna Bożena Strzelno, Michalska Maria — Jasło, Rosiak Stanisław — Dąbie n. Nerem, Molenda Jan — Lwów, Podhalicz Stefan — Lwów, Golimuntowicz Wanda — Dukla, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Kawecki Wincenty — Modzerowo, Lenart Tadeusz — Rakowice, Irena Maria Wójcikowska — Armatniów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Golimuntowiczowej z Dukli i Molendzie ze Lwowa.



Niedziela, dnia 13 listopada 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa w wykonaniu Małej Orkiestry 14.40 „Wszystkiego po trochu” — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Utwory skrzypcowe w wyk. Antoniego Szafranka 17.00 Tygodnik dźwiękowy 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Przemówienie wicepremiera i min. skarbu inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego 19.30 Franciszek Schubert — nowe nagrania płytowe 21.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.40 „Porwanie Sabiny” — wesoła audycja z Katowic 22.20 Muzyka taneczna w wyk. orkiestry Rozgłośni Lwowskiej.

Poniedziałek, dnia 14 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Pieśń ludowa i artystyczna — audycja muzyczna dla liceów 15.00 „Wielki dzień” — słuchowisko dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.35 Robert Schumann: Trio op. 110 — koncert z Katowic 17.05 Podróż przez Tybet” — odczyt 17.20 W muzykalnym domu — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Przemówienie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka 19.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert orkiestry Polskiego Radia 22.25 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego.

Wtorek, dnia 15 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Mam 13 lat — powieść Janiny Morawskiej dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.30 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa 16.45 Szkło bezpieczne — pogadanka 16.55 Utwory na dwa fortepiany 17.20 Nowe możliwości przemysłu polskiego — pogadanka 17.30 Z pieśnią po kraju 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy w Toruniu 21.00 „Z teki polskich pieśniarzy” — koncert 21.55 Gospodarstwo literatury w Odrodzonej Polsce — szkic 22.10 Audycja kameralna w wyk. węgierskiego kobiecego kwartetu smyczkowego.

Środa, dnia 16 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert” — audycja dla dzieci i młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa w wykonaniu orkiestry rozgłośni lwowskiej 16.35 Arie i pieśni Mozarta w wyk. Luby Lewickiej 17.00 „U kolebki wojska Polski Niepodległej” — odczyt 17.15 Reportaże z baletów: „Król tancerz” — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Czy Kino jest sztuką?” 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Raula Koczalskiego 21.30 Literatura w Polsce Odrodzonej — wieczór literacki 22.00 Wolfgang Amadeusz Mozart — koncert z płyt.

Czwartek, dnia 17 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 W takt muzyki — poranek dla szkół powszechnych 12.03 Audycja południowa 15.00 „Świat w kolorach” — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.20 Problem surowców i zagadnienia kolonialne — pogadanka dla młodzieży licealnej 16.40 Polskie pieśni historyczne — audycja słowno-muzyczna 17.35 Utwory fortepianowe w wyk. A. Brachockiego 18.00 Audycja dla wsi 18.30 O tytułach muzycznych — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 Dorobek kolejnictwa polskiego — przemówienie ministra komunikacji Juliana Ulrycha 21.10 „Pola Elizejskie” — słuchowisko 22.00 Koncert muzyki polskiej w wyk. orkiestry Polskiego Radia.

Piątek, dnia 18 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Zagadka historyczna — audycja dla młodzieży 15.35 Muzyka obiadowa w wyk. Małej Orkiestry 16.35 Pieśni w wykonaniu Sergiusza Benoniego z Wilna 17.05 Utwory Griega w wykonaniu orkiestry smyczkowej Zw. Muz Chrześć. 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr wyobraźni: „Wyzdrowiał” — słuchowisko 19.00 „O zmroku” — koncert wieczorny z Poznania 21.00 Chór Polskiego Radia pod dyr. St. Nawrota 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 19 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.30 „Tomcio Paluch na dnie morza” — audycja dla dzieci 16.35 Koncert solistów ze Lwowa 17.10 Ustrój państwa komórek — odczyt 17.25 „Wlazł kotek na płotek i mruga” — audycja muzyczno-literacka 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków zagranicą 19.15 Koncert rozrywkowy 20.00 Polska kapela ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 21.00 Koncert rozrywkowy 21.50 Koncert w wykonaniu orkiestry Polskiego Radia 23.15 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radia.



SPRAWIEDLIWA WAGA

Co tydzień Kuba dostarczał kilogram masła piekarzowi w miasteczku. Po pewnym czasie piekarz stwierdził, że waga nie jest uczciwa. Oburzony tym zaskarżył Kubę do sądu. W sądzie pyta sędzia Kubę:

— Macie w domu wagę?

— Mam — odpowiada Kuba.

— Macie też stemplowane ciężarki?

— Mam, prześwietny sądzie, ale nimi masła nie ważyłem!

— Czym żeście więc masło ważyli?

— Od czasu jak zacząłem dostarczać masło piekarzowi, biorę jego kilogramowy bochenek chleba i tym chlebem odważam zawsze masło.

Sąd Kubę uwolnił.

CHOROBA UMYSŁOWA

— Czy były jakie objawy choroby umysłowej w pańskiej rodzinie? — pyta lekarz.

— Owszem, panie doktorze! Moja siostra nie chciała zaślubić milionera.

NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK

— Dokąd pan tak śpieszy?

— Biegnę do doktora, gdyż moja żona wylała na siebie garnek wrzącej wody.

— Jakim sposobem się to stało?

— Powiedziała coś takiego, co doprowadziło mnie do wściekłości.

NA POWIŚLU

— Powiedz mi, Wicek, jak ci nie wstyd? Palto masz na sobie porządne, a z butów palce ci wylażą.

— A bo widzisz, palto można wymienić w pierwszej lepszej kawiarni, ale buty? Komu uda ci się zdjąć buty w knajpie?

TO CO INNEGO

Mąż: — Ale ten gość nie przypuszcza chyba że nasza Mania dostanie posag?

Żona: — Cóż znowu! Przecież poznali się w lombardzie.

GROŹNY OBJAW

— Moja żona tak nie ma apetytu, że nawet nie chce jeść tego, co jej pan doktór zakazał!

EKONOMIA

— To niesłychane, człowieku — w ciągu jednego dnia wypijasz 25 butelek piwa! Oblicz, ileś pieniędzy na to stracił!

— Ale zapominasz, że część mi się z tego wróci.

— A to w jaki sposób?

— W taki, że jutro dostanę zwrot zastawu za butelki.

U LEKARZA

— To, że pan tak prędko wrócił do zdrowia, zawdzięcza pan przede wszystkim swemu mocnemu organizmowi.

— Mam nadzieję panie doktorze, że uwzględni pan to w swoim rachunku...

DEFINICJA

— Co to jest pocałunek?

— Nic podzielone przez dwa.

RATY

Pewna nie pierwszej młodości, aktorka zaręczyła się z młodszym od siebie znacznie przemysłowcem.

— Czy powiedziałeś swemu narzeczonemu ile masz lat? — zapytuje ją koleżanka.

— Tak... częściowo...

ARYTMETYKA

U Lourse'a siedzi kilka starszych już aktorek i zajmuje się obliczaniem lat swoich koleżanek.

— Ona jest dwa razy starsza ode mnie — mówi któraś. — Kiedy ja miałam siedem lat, to ona miała czternaście.

TALENT

— Ja proszę pana mógłbym być wspaniałym mówcą, ale cóż — nie mam okazji do wykazania swego talentu.

— Doskonale pana rozumiem — ja też jestem żonaty!...

STRASZNE

— Uj, co ten Icek narobił.

— Ny, co takiego?

— Sfałszował weksel.

— Ach, jak ty mnie przestraszył. A ja myślałem, że on jadł wieprzowinę.

W BIBLIOTECE PUBLICZNEJ

Funkcjonariusz czytelni publicznej do przesadnie wystrojonej, mocno wymalowanej i nadmiernie wyperfumowanej panienki:

— Przepraszam panią, ale tu nie wolno tak głośno pachnąć.

PIERŚCIONEK

— Jak wyglądał pierścionek, który pan zgubił?

— No, jak miał wyglądać? Jak prawdziwy!

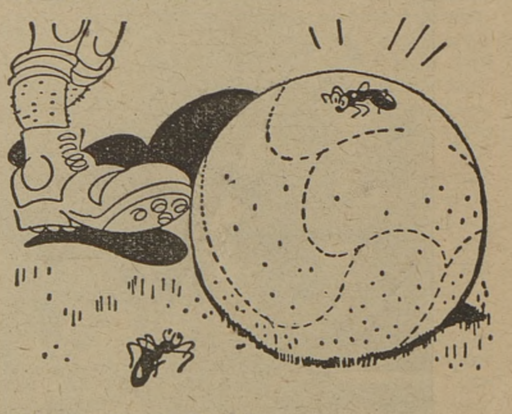
NIEPOJĘTE ŻĄDANIE

Antek i Felek zaproszeni na niedzielę do majstra Cholewki na obiad — na zupę grochową na wędzonce i schab z kapustą.

— Tylko zmieńcie koszule — upomina majster Cholewka.

Antek spogląda ze zdumieniem na Felka. Felek równie zdziwiony gapi się na Antka.

— Zwariował ten Cholewka czy co? Co jemu z tego przyjdzie, że ja włożę twoją koszulę, a ty moją?!



Jedna mucha do drugiej:
— Uważaj, za chwilę odjeżdżam!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI” — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.